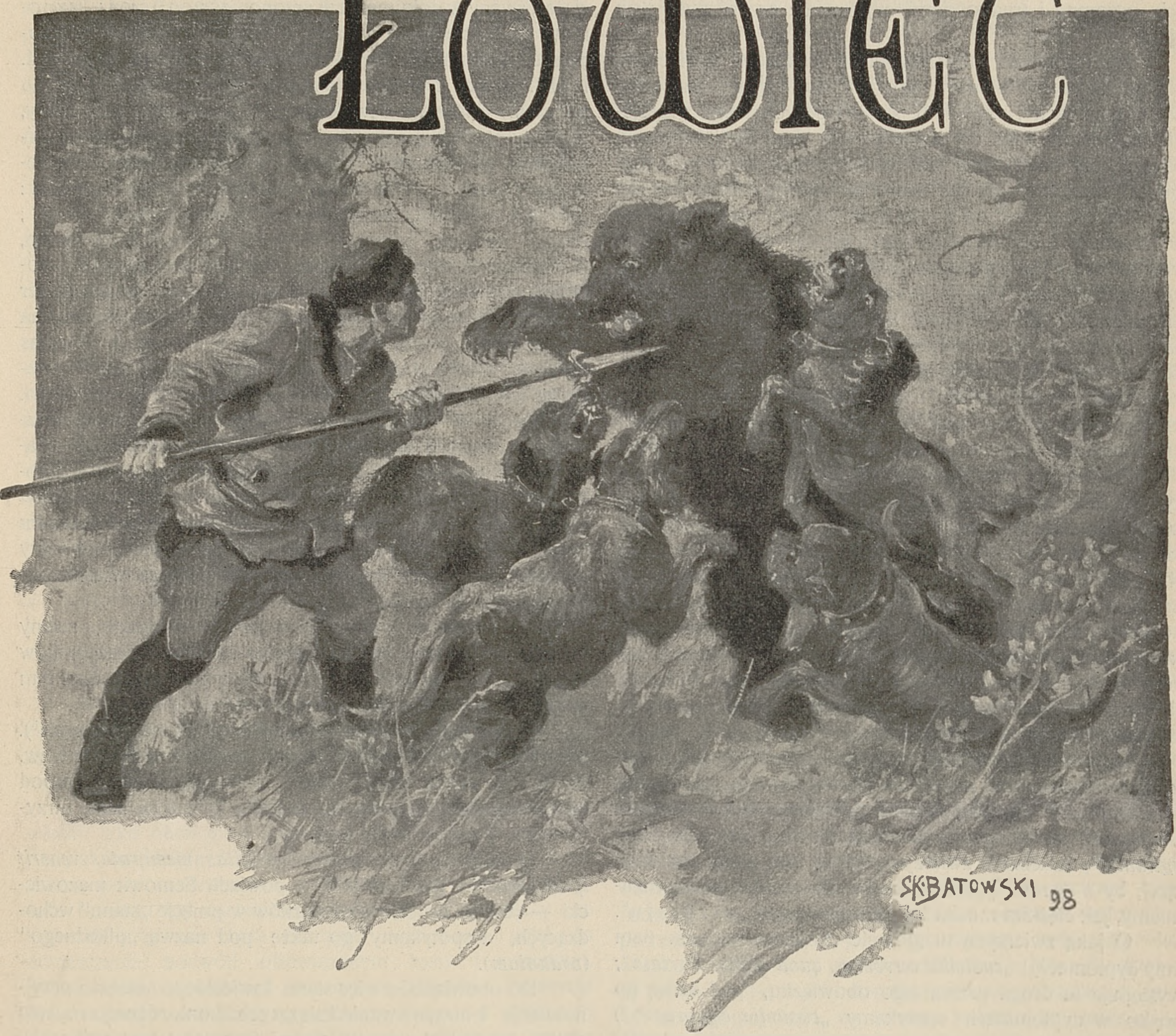
Nr. 7. Lwów, 1. kwietnia 1905. Rok XXVIII.

ŁOWIEC



Wkładka roczna członka 10 koron = 10 marek = 5 rubli.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

Wychodzi 1. i 16. każdego miesiąca.

Dr. Tadeusz Mańkowski.

Prawo łowieckie w Polsce w wiekach średnich.

(Ciąg dalszy).

5. Ciężary łowieckie prawa książęcego.

Dla ułatwienia działalności łowców książęcych służyły ciężary łowieckie prawa książęcego. Bez nich działalność łowców byłaby o wiele trudniejszą i mniej rentowną, gdyż utrzymanie podczas ciągłych podróży łowieckich zgrai łowców wymagałoby wiele kosztów i nakładu. Prócz tego łowy wymagały współudziału wielkiej ilości ludzi, by więc uniknąć powiększania liczby i tak licznej już służby łowieckiej, nakładano na ludność ciężary, zmuszające ją do wykonywania pewnych usług osobistych lub uiszczania pewnych danin w naturaliach.

W pośród przeróżnych ciężarów prawa książęcego, poczestną liczbę zajmują ciężary, odnoszące się do wykonywania przez księcia prawa polowania. Nie wszędzie te ciężary były jednakowe.

Częstokroć pewna dzielnica nie zna zupełnie danego ciężaru, który jest nałożonym na ludność drugiej lub czasem nazwa jedynie różni identyczne co do istotnej swej treści obowiązki łowieckie.

Co do ich pochodzenia, to nie jest ono dla wszystkich ciężarów równoczesne. Potrzeba z jednej a możność nakładania ich na ludność przez księcia z drugiej strony, wywołała powstanie pierwszych ciężarów, a czas ich powstania sięga w czasy źródłową historyą nie objęte. Później z czasem liczba ich coraz wzrastała, wzrastało też

smutne położenie i ucisk wieśniaków, przygniatanych ilością ogromną i trudnościami wykonania przeróżnych tych ciężarów i usług.

Przejdźmy do poszczególnych ciężarów łowieckich. Najogólniejszem mianem nazwany jest ciężar, nazywany w dokumentach „*venatio*“ [1]), zwykle bez bliższego określenia jego istoty. Jedynie z podobnych wzmianek trudnoby osądzić, czy należy pod tem rozumieć specyalny jakiś ciężar tak nazwany, czy też nazwa ta obejmuje rozmaite ciężary, odnoszące się do łowiectwa. Wyjaśnienie znajdujemy w Długosza *Liber benefitiorum;* czytamy tam mianowicie: *item tenentur ire cum tenutario ad venandum, et ibi tres aut quatuor dies cum eo manere et pausare* [2]). W innem zaś miejscu: *item cmethones tenentur retia ducere in campum in venationes* [3]). Gdy obowiązek ten nie da się podporządkować pod żadną inną znaną nazwę, prawdopodobnem jest, że ten właśnie ciężar nazywano „*venatio*“. Był to więc ogólny obowiązek ludności wieśniaczej iść na łowy dla spełniania różnych posług pod rozkazami łowczych.

Podobnym, lecz również nie dość jasnym wydaje się być ciężar, zwany kłodnicze (chlodnice) spotykany w Wielkopolsce [4]), gdzie w dobrach, należących do klasztoru Cystersek w Owińsku (1250) był przedmiotem usług chłopów, w połowie wieku XIII. zaś został zniesiony. Trudno jest zapewne wyjaśnić znaczenie tego wyrazu, źródła bowiem prócz gołosłownej nazwy nie podają nam bliższego określenia istoty tego ciężaru. Prawdopodobnie odnosi się ta nazwa do obowiązku robienia przez chłopów zasiek z pni zwalonych, używanych do rodzaju polowania, zwanego „kłoda“ [5]).

Inny ciężar określają słowa dokumentu: [6]) *incole villarum dictarum ad custodiam fere agitantis, que dicitur przelaya, dum mandati fuerint, a venatoribus nostris ire tenebuntur*. Istotę ciężaru określają słowa: „*custodia ferae agitantis*“, strzeżenia zwierzyny, łatwo swe ostoje zmieniającej, by z obrębu pewnych lasów nie uszła. Łatwo zrozumiemy, jak ciężkim musiał być ten obowiązek „przełaju“.

O jaką zwierzynę tu głównie chodziło, określa nam inny dyplomat [7]): „*custodia cervorum, quod dicitur Prelaja*“; występuje tu druga nazwa tego obowiązku, pod którą go często w dyplomatach spotykamy „*custodia cervorum*“ [8]) a istota jego znów wymieniona jest w następujący sposób. *nec saltum cervorum super lacum observare tenentur* [9]), podobnież musieli chłopi zwracać uwagę i zdawać sprawę ze stanu i miejsca pobytu zwierzyny [10]).

Ciężar ten spotykamy głównie na Kujawach i Mazowszu a prawdopodobnie był i w Wielkopolsce [11]), choć pod nazwą przełaju nie występuje.

[1]) Kod. kat. krak. CXIV. stan, narzas, venationes, prevod militali...

[2]) T. I. str. 627.

[3]) Ibid. I. 277. podobne przypadki Rzyszcz.-Muczk. T. II. cz. 2. DIII. ibid XXXII.

[4]) Kod. Wielkop. 284 r. 1250, 303 r. 1252, 496 r. 1280, 518 r. 1282.

[5]) Według prof. Smolki „kłoda“ oznacza dyby w które zakuwano więźniów, a kłodnicze obowiązek transportu więźniów. Mieszko Stary.

[6]) Rzyszcz.-Muczk. I. CXVIII. r. 1353.

[7]) Ibid II. 2. CCCCLII. z r. 1262.

[8]) Ulanowski, Dok. kuj. i maz. nr. 13, „custodia ecorum“ niezawodnie zepsute „cervorum“ r. 1250.

[9]) Kod. Wielkop. 355 r. 1257.

[10]) Observent in villa sua transnatationes cervi, miejsca przepływu jelenia przez rzekę, Kętrzyński. 30. dokum. w 1.

[11]) Przełaj oznacza zabieżenie drogi, w tym wypadku jeleniom patrz Linde.

W Wielkopolsce głównie a także i w Łęczycy istniał ciężar, zwany w dokumentach srzonowe srzon [1]) sron — szronowe. Występuje on nader często, zwłaszcza w Wielkopolsce, (dokumenta wymieniają go 12 razy) w ciągu XIII. i XIV. wieku. Na Mazowszu i w Łęczycy spotykamy go po razu. Bliższego określenia tego obowiązku nie mamy, jeden tylko dokument mówi, iż ciężar ten *pertinet ad dignitatem venatoriam* [2]). Dokument z roku 1278 [3]) wymieniając ciężary w synonimach polskich i łacińskich, mówi: „strozha custodia, sron pruina, pobor solucio i t. d.“; sron — pruina, obydwa te słowa oznaczają to samo, a mianowicie pierwszy śnieg, który dziś nazywamy ponową. Do dziś dnia dla myśliwego sprawa ta jest nader ważna, ma bowiem sposobność poznać po tropach na śniegu stan i jakość zwierzyny. Podobnie więc i wówczas było obowiązkiem chłopów, gdy spadł śnieg, tropić zwierzynę i wynajdywać jej schronienia dla użytku łowczego. Obowiązek ten został później reluowany na daninę, uiszczaną w owsie. Poznajemy to z zap. sąd. łęczyckich (Pawiński ks. sąd. łęcz. I. 737 i 744), gdzie Stanisława, subvenatora łęczyckiego pozwał Mściszko, *venator* łęcz., *quod mandavit avenam recipere*, co nazywa takze *pro quodam* srzonowego. Kto wie, że ciężar zwany przez dokumenty „srezna“, „sressna“ [4]), „posrezne“ nie oznacza właśnie zamienionego na uiszczanie w owsie „szronu“?

Ciężar bardzo powszechny prawa książęcego, zwany „stanem“, dzieli się zwykle na stan monarszy, służebników książęcych, w szczególności łowców i stan gości. Nad tym drugim z wymienionych zatrzymajmy się chwilę.

Prawo żądania stanu należało do atrybucyi łowczych [5]). Pierwszym warunkiem wykonania ciężaru stanu była t. zw. *receptio* [6]), zwana także *statio* [7]), oznaczająca przyjęcie pod dach i ugoszczenie łowców; *custodia* [8]) zaś oznacza utrzymywanie i pieczę o ich wygody.

Et cum venator noster in villas memoratas venerit ipsum nutrire tenebuntur [9]), — powiada Semowit mazowiecki — jest to drugi z obowiązków w pojęcie „stanu“ wchodzących, a spotykamy go także pod nazwą „obiednego“ (*prandium*).

Do obowiązków więc stanu łowieckiego należało przyjmowanie i utrzymywanie książęcych koni, różnego rodzaju służby łowieckiej z psami, siećmi *(venatores cum retibus)* [10]) i t. p. Szczegóły wyjaśniają nam najlepiej same dyplomata, rzucając właściwe światło na sposób ich wykonywania [11]). Bardzo często zwłaszcza wymienianem w źródłach jest

[1]) KW. 1131, r. 1334.

[2]) Kod. Wielkop. 467 r. 1277. — 477 r. 1278. — 1131 r. 1334. 1735 r. 1377. Ulan„ Dkm. 178. r. 1240. Rzyszcz.-Muczk. 100. w 1278 i wiele innych.

[3]) Rzyszcz.-Muczk. I. LVIII. Kod. Młp. III. str. 97 r. 1270.

[4]) A pensione mensurae que srezna eque volgariter apellatur. Kod. Małop. CCCCXL1X. r. 1256.

[5]) et de villis dicte domus nullam iurisdictionem usurpent sibi, quod vocatur polonice stan. Kod Wielkop. 673.

[6]) Kod. Wielkop. 695, 639 i inne.

[7]) Kod. Małop. XXXI. CCCCXLIX.

[8]) Kod. Małop. CCCCL. Kod. Wielkop. 695. Ulan Dok. kuj. maz. 12.

[9]) Rzyszcz.-Muczk. I. CXVIII.

[10]) Kod. Mazow. 7.

[11]) Item ville ecclesiarum falconarios et falcones non recipient neque pascent, castoraros capientes castores ducent et procurabunt preterea venatores cervorum et aliarum bestiarum in villis ecclesiarum nihil per vim extorquebunt, nisi eis aliquid per bonam voluntatem exhibeatur, Kod. Wielkop. 235.

receptio castorariorum[1]). Należy przytem wspomnieć, że obowiązek stanu ciężył na wszystkich wsiach, więc książęcych, kościelnych i rycerskich; te ostatnie jednak były pod tym względem uprzywilejowane w późniejszych czasach, ciężył bowiem ten obowiązek na nich niekiedy, tylko raz w roku, a gdy łowcy zaskoczeni nocą do wsi rycerskiej schronili się, musiano im wprawdzie dać przytułek, lecz nie miano obowiązku żywić[2]).

Przywilej ten zwano *receptio more militari* a udzielano go niekiedy i wsiom nierycerskim[3]).

Obowiązek stanu łowieckiego ciężył także i na ludności wolnej[4]).

Wogóle stan łowiecki był jednym z najuciążliwszych dla chłopów ciężarów. Łowcy ogałacali spiżarnie chłopa ze wszystkich zapasów, a bezwzględnością swoją przyprowadzali go do rozpaczy.

Prócz księcia i jego łowców potrafili także panowie i rycerstwo dla siebie i swych łowców przywłaszczyć prawo żądania od ludności wieśniaczej stanu. Z tego powodu już na synodzie łęczyckim 1180 r. podnoszono to jako nadużycie, pomimo tego jednak jeszcze przy końcu VIII. wieku spotykamy dokumenty, w których książę uwalnia *a receptione nostrorum et aliorum venatorum*[5]).

W dokumentach zwykle osobno bywa wymieniana „*receptio venatorum et subvenatorum quod* stan *vocatur*" a „*receptio castorariorum*". Różnica pochodzi stąd, że bobrownicy zawsze oddzielnie od innych łowców polowali, stali pod osobnym zarządem pana bobrowego, i rodzaj ich polowania był innym.

W łączności z obowiązkiem stanu pozostawał ciężar zwany „*eductus*",[6]) odwiezienia łowca po ukończeniu jego czynności do najbliższej osady, faktycznie identyczny z następnym.

Conductus (KW. 325) p r z e w ó d, był specyalny łowiecki, jako obowiązek dostarczania podwód dla łowców. Źródła rozróżniają 2 rodzaje przewodu: *conductus rusticanus, more rusticorum i militaris, more militali.* Przewód łowiecki był najczęściej wojskowym,[7]) to znaczy, że szybkość przewodu była znacznie zwiększoną, gdyż do dostarczania podwód obowiązanem było i rycerstwo. Świadczy to o ważnem stanowisku łowców. Ponieważ łowy w wielu okolicach na większą skalę raz tylko do roku podczas książęcych podróży się odbywały, często

[1]) Tsch. St. 331. Ulan 356.

[2]) Et venatores nostros more militali recipiant, sed si ipsos venatores ad aliquam talium villarum pro nocturno declinare contingerit, solo feno erunt contenti et semel in anno recipientur, Rzyszcz.-Muczk. 443.

[3]) Kod. kat krak. LXXXVIII.

[4]) Liberi homines... in villis archiepiscopalibus et in Voybor et similiter Mazoviensi episcopatu ascripticiis permixti... eadem qua et ascripticii libertate fruantur. Kod. Wielk. 234. ibid. 236.

[5]) Kod. Wielkop. 639, ciekawym w tym względzie jest także dok. (Ulan. Dok. kuj. i maz.) nr. 16: Volumus eciam ut prescriptus dominus Stoygnews noster fidelis omnem voluntatem ac potestatem venandi, ubicunque sibi in nostro dominio expedire, non solum in minoribus feris sed eciam maioribus habeat omnimode liberalem, ista tamen moderatione apposita vel adiuncta, quod cum in mane ad venandum iter assumpserit ad p edictam hereditatem, ad faciendum (mansionem in) suo domicilio se debet recipere, omni occasione postergata; et hec omnia sibi suisque liberis natis ac nascituris i t. d.

Cały ten długi wywód jest właściwie zakazem odbierania od chłopów stanu łowieckiego.

[6]) Kod. Małop. CCCCL.

[7]) In Conductu vero et nostris venatoribus procurandis more militali utantur, Kod. Mał. LI.

przeto znajdujemy klauzulę, że obowiązek ten miał miejsce *infra annum semel, si quando nos in nostra persona causa venandi transire contigerit*[1]).

Oprócz przewodu dla samych łowców istniał jeszcze przewód zwierzyny ubitej, *conductus ferinae;*[2]) obowiązek ten określają słowa dokumentu jako transport zwierzyny ubitej w lesie do miejsc, gdzie z niej czyniono użytek. Połączonym był z tem także obowiązek wyszukiwania w lesie zwierzyny przez łowców ustrzelonej, lecz nie na miejscu padłej, która ze strzałą w boku szła gdzieś w gąszcze zdychać. Tam winni ją byli chłopi wsi okolicznych odszukać i odstawić, do najbliższej osady. Ponieważ zaś zwierzyna łatwo mogła uledz zepsuciu, zwłaszcza w porze gorętszej, przeto zastosowywano tu przewód wojskowy — *conductus more militari* — od którego nikt nie był wolnym i jedna osada drugiej sąsiedniej obowiązaną była zwierzynę z największą, możliwą szybkością odstawić i dalej znów następnej wsi podać, dopóki ten transport nie przybył na miejsce swego przeznaczenia do grodu lub na dwór księcia.

B o b r o w e[3]) lub Bóbry[4]) (*castor*)[5]) był to obowiązek wieśniaków strzeżenia bobrów w ich żeremiach. Zwano go także „j a t a b o b r o w a".[6]) Obowiązek ten spotykamy w Wielkopolsce, Mazowszu i Małopolsce; w Wielkopolsce mianowicie w drugiej połowie XIII-go i w XIV. wieku[7]), na Mazowszu w XIII. do XV. wieku[8]), w Małopolsce zaś jedynie w wieku XIII.[9]) Bobrownicy książęcy nie mogli podołać ustawicznemu doglądaniu bobrów na szerokich przestrzeniach rozrzuconych ich rojnych kolonii, w niedostępnych nieraz bagnach i moczarach. Dla pomocy przeto i ulżeniu im w tym obowiązku, prawdopodobnie nałożonym został na ludność przyległych osad żmudny ciężar ciągłego ich strzeżenia[10]), a bobrownicy książęcy zapewne co pewien tylko czas przebywali w miejsce to dla policzenia „jat" bobrowych, sprawdzenia czy nadzór wykonywanym jest w odpowiedni sposób i dla ubicia oznaczonej ilości bobrów do osiągnięcia pewnej cyfry rocznego obowiązkowego trybutu w skórach bobrowych potrzebnej. Taką była, jak przypuszczam, treść tego obowiązku. Ciężkie kary czekały wieśniaków, którzyby dozwolili bobrom ujść z ich dotychczasowych siedzib; a jako akt szczególnej łaski ze strony księcia jest pozwolenie wygonienia bobrów z danego miejsca dla uwolnienia ludności od uciążliwego „bobrowego"[11]). Wypadek uwolnie-

[1]) Kod. kat. krak. LXXXVIII.

[2]) Kod. Wielkop. 1382.

[3]) Tschoppe-Stenzel, Urkundensammlung 340. – Kod. Małop. DXIX., DXXIV., DXXXII. i inne.

[4]) Liberamus a bobri, Kod. kat. krak. C. – Kod. mogilski LXI

[5]) Kod. Wielk. 152, 549. Tschoppe-Stenzel 340.

[6]) Jata = Chata, tu użytym jest ten wyraz w znaczeniu kopców z wody wystających — mieszkań, jakie sobie bobry gromadnie żyjące budują.

[7]) Kod. Wielkop 477 z r. 1278. — 549 z r. 1284. — 1735 z r. 1377.

[8]) Ibid. 297 z r. 1257. - 1131 z r. 1334. Ulanowski, Dok. k. i m. 343 z r. 1386. Rzyszcz.-Muczk. I. 292 z r. 1416.

[9]) Rzyszcz.-Muczk. III. 70 z r. 1256. — Kod. Małop. II. 184. z r. 1292. — Ibid. T. II. 192, z r. 1293. — Ibid. T. II. 200, z r. 1296 i wiele innych.

[10]) A castoribus qui custodiebantur... in villa eius. Ulanowski, Dok. kuj. i maz. str. 297 z r. 1257.

[11]) Lestco Dux Cracovie Ad petitionem domini Cracoviensis Episcopi I. contulit libertatem dimittendi Castores in territorio beati Wenceslai super villa iuxta Molendinum Magistri Benedicti, salva tamen libertate vicinie quod nullum michi detrimentum paciatur. Kod. kat. krak. XVI. około r. 1224.

nia ludności „*a bobri capite*“, spotkany raz w źródłach, [1]) zawiera prawdopodobnie uwolnienie ludności od kary, za zaniedbanie tego obowiązku a nałożonej „od głowy bobra“, który z powierzonego opiece chłopów gonu z ich winy zginął.

Ciekawym bardzo i charakteryzującym stosunki średniowieczne był ciężar sokołowe lub sokół zwany *(socol, falco)*, [2]) także *custodia et solutio erodiorum* [3]).

W ciągu wieku XIII. obowiązek ten nosi nazwę „sokół“ (sokol, sochol, sokal), w XIV. zaś wieku przeważa nazwa „sokołowego“, nie ulega jednak wątpliwości, że jest to ten sam ciężar. Na Mazowszu spotykamy też nazwę „sokolne“. [4]) Ciężar ten jest bardzo powszechnym; widzimy go we wszystkich dzielnicach Polski, najczęściej jednak w Wielkopolsce, najrzadziej stosunkowo w Małopolsce. W Wielkopolsce pojawia się on też najwczesniej stosunkowo, w dokumentach bowiem spotykamy go już z końcem XII. wieku.

Niech mi będzie wolno, wprawdzie nie zupełnie ze źródeł wysnutą, ale raczej na myśliwskich podstawach opartą, przedstawić tu przypuszczalną istotę tego ciężaru prawa łowieckiego. Polegał on prawdopodobnie na tem, że gdy w obrębie terytorium do danej osady należącego zagnieździł się dziki sokół, cała ludnosć osady była odpowiedzialną za całość gniazda, a obowiązaną pilnować [5]) szczególnie tej chwili, gdy młode pisklęta poczynały latać, ażeby je wówczas jako najzdatniejsze do układania dla celów myśliwskich uchwycić. Nie było to rzeczą łatwą, te też gdy sokół się gdzie zagnieździł, dzień i noc straż wysłana z osady pilnie musiała baczyć na stan i wzrost młodych piskląt, rychłoli chwila wylotu z gniazda ma nastąpić. Zagnieżdżenie się takie sokoła było prawdziwą klęską dla przyległej osady. [6]) Na wieść bowiem o tem zjeżdżali zapewne równocześnie i sokolnicy książęcy i do uciążliwego i tak obowiązku stróży gniazda sokolego, przybywał jeszcze gorszy stan sokolników książęcych, który przy dłuższem trwaniu i zwykłych w tych razach nadużyciach z ich strony, mógł i zamożną nawet osadę zniszczyć ekonomicznie zupełnie. Najgorszem już ze wszystkiego było, jeżeli sokolęta niedość może dobrze pilnowane, uleciały z gniazda; wówczas czekała ludność kara grzywny „siedemnadziesta“, [7]) nałożona za wykroczenia przeciw obowiązkom, wynikającym z prawa książęcego, (ta sama kara czekała i włościan obowiązanych do strzeżenia bobrów).

Sokołowe więc polegało na dwóch rzeczach: *custodia* strzeżenie, a w razie uchybienia temu obowiązkowi *solutio*, opłata kary siedemnadziesta. Wskazują na to słowa dokumentu: „*nec custodiant nec solvant*“, [1]) a zwłaszcza słowa: „*non teneantur solvere silvestrem falconem si deperit*“ [2]).

Ciekawe świadectwo o ucisku chłopów z racyi sokołowego, daje nam bulla papieża Grzegorza IX. z r. 1233. Ucisk ten doprowadzał nawet do tego, że „*cum tam iniquam et inauditam pati non valeant servitutem ad perfidiam Ruthenorum et Pruthenorum transeunt cohabitatione fidelium derelicta*“. To też było powodem, że gdy zdarzało się się to i w dobrach kościelnych, wystąpił przeciw temu obowiązkowi nawet papież.

Na Mazowszu w r. 1230 Konrad ks. krak. i maz. obowiązek ten nieco złagodził w dobrach kościelnych, nie nakładając kar na ludność, gdy sokół zginął, lecz nakazując chłopom wsi kościelnych jedynie pomagać w strzeżeniu go w gnieździe chłopom wsi innych [3]).

Dopiero gdy przy lokowaniu wsi na prawie niemieckiem, zwalniano ludność niewolną od wszystkich ciężarów prawa księżęcego, dozwolono chłopom drzewo, na którem sokół gniazdo sobie obrał, ściąć nawet, aby w ten sposób zmusić go do porzucenia gniazda i wyniesienia się z obrębu osady [4]).

Prawo chwytania młodych sokołów było pierwotnie wyłącznym przewilejem księcia, później dopiero spotykamy się, w końcu XIII. [5]) i XIV. wieku z wypadkami, że książę poszczególnym panom prywatnym i duchownym dozwala „*si falco in earum villarum confinia intraverit ipse suique legittimi successores eum habeant plenam licenciam accipiendi*“. Trojden, książę czerski, nadaje to prawo Krystynowi, wojewodzie czerskiemu wraz z dobrami; musiał je również posiadać klasztor św. Wawrzyńca pod Kaliszem, skoro dyplomat klasztoru tynieckiego [6]) mówi: że chłop, który znajdzie gniazdo sokoła ma obowiązek dać „*praeposito*“ jedno pisklę pod zagrożeniem grzywny „*media marca*“. W wieku XV. przywilej ten staje się ogólnem prawem rycerstwa, a używanie sokołów do polowania nader rozpowszechnionem.

Do ciężarów pokrewnych stanowi łowieckiemu należy jeszcze psiarskie (psarskye, [7]) psarske KW. 477, *procuratio canum*, KMł. LXXIX.). Wzmianki o niem spotykamy po dokumentach w XIII.—XV. wieku, wielkopolskich i mazowieckich, tych ostatnich najczęściej (W Wielkopolsce w latach 1278 (KW. 477), 1334 (KW. 1131), 1377 (KW. 1735). Na Mazowszu w latach 1278 (RM. 100), 1358, 1363, 1384, 1416 i t. d. (Ulanowski DKM. str. 323, 331, 342, RM. I. str, 293 K. Maz.). Był to ważny obowiązek utrzymywania i żywienia psów książęcych [8]) podczas podróży samego księcia

---

[1]) Kod. Mogilsk., LXI. r. 1336.

[2]) Badeni mylnie przytacza nazwę „falcatio“ — oznaczającą istotnie obowiązek koszenia siana, nie zaś doglądania sokołów. Kod. Wielk. 367. Kod. Małop. XXXIV.

[3]) Erodium = herodium = sokół. Ulanowski, Dok. k. i maz. 12, str. 363.

[4]) Rzyszcz.-Muczk. I. 292.

[5]) Coeterum si falco repariatur in ambitu loci praetaxati maneat custodiae loci munimine deputatus, Rzyszcz.-Muczk. z r. 1264.

[6]) Novum genus molestie dicuntur, circa pauperes Poloniae principes invenisse videlicet quod ipsorum custodie committunt castores et falcones, qui si solida nidorum loca relinquerint sequentes native spiritum libertatis, vel aliquis de pullis perditur eorundem pauperes ipsos in septuaginta marcharum condempnant. Kod. Wielkop. 143.

[7]) Badeni wymienia karę śmierci bez podania jednak źródła.

---

[1]) Kod. Wielkop. 455.

[2]) Kętrzyński. 30. dokum. kat. płockiej nr. 1.

[3]) Item non teneantur solvere silvestrem falconem, si deperit quia eiusdem est libertatis in aere, cuius piscis in mari, sed iam inventum nidificantem adiuvent vicinos custodire et pullos eius. Kętrz. 30. Dokum. nr. 1.

[4]) Preterea si ipsa avis nidum sibi in locis congruis eligerit, pro securitate potiori prorsus eam de suo districtu repellentes, arborem, super quam nidificaverit, succidant tuti, a nobis eis concesso presidio libertatis. Kod. Małop. LXI.

[5]) Kod. maz. z r. 1295.

[6]) Kod. tyniecki LXXXVI., ut autem contingerit aliquem cmetonem invenire accipitram vel nisum dabit eligere preposito de quolibet nido unam avem.

[7]) Kod. Wielkop. 1131. Ibid. 477 i w. i.

[8]) Canes, caniductores falconarios et castorarios non pascant. KW. 174. Czytanie tych wyrazów jako „pieszy ślad“ nie wydaje mi się odpowiednie, a forma pesi lub piesi jest w duchu ówczesnym języka zupełnie odpowiedną, temat bowiem słowa tego brzmi pes

lub wypraw myśliwskich łowców książęcych. *Procuratio canum et caniductorum* szło zawsze razem w parze, dając się tem dotkliwiej uczuć ludności.

Najbardziej ulubionym sposobem polowania było podówczas polowanie z psami gończymi. Przytem zdarzało się często, że psy zagnawszy się za zwierzem, przepadały i trudno je było odszukać. Do tego służył ciężar, nałożony na chłopów, zwany „p s i ś l a d“ (pesi slad. [1]) Obowiązkiem ich było szukać według tropów psich, zaginionych gończaków.

Tłumaczenie to nazwy „pesi ślad“ powtarzam za prof. Piekosińskim. (Ludność wieśniacza w Polsce).

Specyalnie na rzeźnikach ciężył obowiązek oddawania głów zwierząt zabitych dla psów książęcych, serc zaś i wątroby dla sokołów [2]). W XII. wieku obowiązek ten rozpościerał się na całą Małopolskę [3]).

Gdzieniegdzie znów znajdujemy obowiązek oddawania przez chłopów osypki dla psów, rocznie „*decem modios de Tluz* (tłucz) *quos pro canibus tenebantur exhibere* [4]).

Niekiedy ciężary łowieckie bywały reluowane na daninę, uiszczaną zazwyczaj w owsie, zwanę *avena servitialis*. W jaki sposób przychodziło do tej zamiany wyjaśniają najlepiej słowa dokumentu [5]). *Auditis etiam multis magnisque gravaminibus, que noster subvenator eorum villis et hominibus eas possidentibus impendebat, ea diutius nolumus tolerare, sed statuimus et firmiter ponimus, ut noster subvenator in die beati Martini XX. mensuras avene in vicinia dicti monasterii recipiat annuatim et in propriis curribus reducat, ubi nostre placuerit voluntati.* Podobne wypadki spotykamy na Śląsku, gdzie opłata taka zwie się *lovczhaber* [6]) *avena venatorum* [7]).

Tyle dałoby się powiedzieć o organizacyi łowców książęcych. Widzieliśmy jak szeroki ona zakres objęła i jak wybitne w organizacyi całego społeczeństwa zajęła stanowisko. Przejdźmy obecnie do prawa łowieckiego, jakie przysługiwało poszczególnym stanom.

[1]) KM. I. 28, r. 1228.

[2]) Relaxamus eciam capita animalium que pro canibus nostris sive iecora que pro falconibus accipiebantur a carnificibus loci nominati. Kod. Małop. 472.

[3]) Videlicet corda recipere omnium animalium, que mactata fuerint per omnes carnifices in omnibus macellis pro necessitate avium. Kod. Małop. CCXXVII.

[4]) Kod. kat. krak. XXXII.

[5]) Kod. Wielkop. 236.

[6]) Nazwa lovczhaber być może jest połączeniem nazwy polskiej urzędu łowczego „lovcz“ i niemieckiego haber — hafer. Kod. dypt. Szląski, II. XXX., serviciali avena id est avena venatorum, que Teutonico elogicio lovczhaber apellatur.

[7]) Wymieniony przez Piekosińskiego (Ludn. wieśniacza str. 62) obowiązek łowiecki ludności poszukiwania skradzionej zwierzyny, oparty na słowach dokumentu „non prosequentur vestigia animalium furtim ablatorum“ nie może stosować się do zwierzyny, która przecież żywą skradzioną być nie może, a zatem i śladów za sobą (vestigia) pozostawić. Wyraz także „animalia“ nie „ferae“ wskazuje, że należy tu rozumieć kradzież bydła domowego.

Automatyczno-repetierowa strzelba Browninga w praktyce.

Każda nowość z trudnością pierwsze swe kroki stawiać musi w świecie. Możnaby ją porównać z dzieckiem, co z wysiłkiem jakiś czas nieśmiałe robi poruszenia, zanim się chodzić nauczy. Takiem dzieckiem niedołężnem jest zwykle każdy wynalazek w jakiejkolwiek dziedzinie wiedzy, takiż los spotyka każdą nowowynalezioną strzelbę, która wpycha się przebojem do wielkiej rodziny broni myśliwskich i chce w niej zająć odrazu dominujące miejsce. Wiemy z tradycyi, z jaką pogardą ojcowie nasi patrzyli na pierwsze mniej więcej w połowie wieku zeszłego pojawiające się odtylcówki, pamiętamy my sami z jakiem niedowierzaniem braliśmy w rękę pierwsze expressy, pamiętamy wreszcie, jak długą i zaciętą walkę musiała z naszym konserwatyzmem stoczyć broń małokalibrowa, zanim stała się taką, jaką jest dzisiaj, to jest uniwersalną.

Nowowynaleziona repetierowo-automatyczna broń śrótowa Browninga, podziela los swych siostrzyc na równi z tamtemi a nawet, powiedziałbym ma o wiele trudniejsze od tamtych zadanie, bo gdy wszystkie nowe rodzaje broni zewnętrzną formą mało od swoich poprzedniczek się różnią, to broń Browninga jest zewnętrznie zupełnie czemś nowem i oryginalnem. I to właśnie jest trudnością, której niełatwo jest odrazu pokonać. Prócz przyzwyczajenia, do rzeczy starych, prócz niedowierzania rzeczom nowym, jest jeszcze jeden czynnik wielką grający tu rolę, choć może śmieszny ale niedający nowościom tak łatwo się rozpowszechniać. Tym czynnikiem jest moda. Nie myślę zupełnie się wdawać tu w rozprawę, czy moda ma jakie prawo bytu w myśliwstwie i czy prawdziwy łowiec jest obowiązanym się jej w czemkolwiek trzymać, ale skonstatować muszę, że moda jest często i w tej dziedzinie wszechwładną panią.

U nas dzięki Bogu pani ta od braci z pod sztandaru św. Huberta mało ma jeszcze wymagań. Znam wprawdzie takich panów, którzy na łowy do sąsiada z dziewięcioma kuframi i siedmioma strzelbami przyjeżdżają i wyglądają w kniei jak sklep galanteryjno rusznikarski, ale ci, sądzę więcej ku krotochwili niż ku wykonywaniu szlachetnej rozrywki służą.

Moda w łowiectwie ma ogromne zastosowanie w Anglii. Tam, by nie stać się śmiesznym, trzeba nietylko być na łowach ubranym pod każdym względem „fashionable“ ale i broń mieć w tym samym zakroju.

Wynalazek Browninga nie zyskał dotąd uznania w kraju Albionu, nikt go nie używa, i dużo jeszcze wody z Tamizy do morza upłynie, nim gentleman angielski weźmie go do ręki, i zresztą byłby mu bezużytecznym. Panowie ci polują z kilkoma strzelbami, z liczną służbą przyboczną, która im strzelby nosi i podaje, oni nie potrzebują Browningów, tak samo jak nie potrzebują pasków przy swoich dubeltówkach, których sami nosić w chwilach wolnych od strzelania nie potrzebują. Z tego powodu Browning jeżeli kiedy wejdzie w Anglii w użycie to długo jeszcze na to czekać będzie trzeba. Jest to, zdawałoby się, fakt dla innych społeczeństw myśliwskich nic nie znaczący, a jednak tamuje on rozpowszechnienie się tego wynalazku i na kontynencie, gdyż tak jak Paryż daje ton modzie w życiu codziennem, tak Anglia daje ton modzie przygodnej, sportowej — a tę modę ogół myśliwski często naśladuje, nie myśląc nad tem, że ona w swojej ojczyźnie ma zawsze praktyczne zastosowanie, którego w innym kraju i w innych warunkach mieć nie może.

Faktem jest, że broń Browninga, mimo że zdaje się być wcale dobrą, w świecie łowieckim ogromnie mało jest jeszcze w użyciu.

Pomówimy teraz o tem, jaką jest ta broń w praktyce.

Tu zastrzegam się z góry, że broni tej sam nie używałem a danych jakie w tej materyi zebrałem nie podyktowało mi własne doświadczenie, dlatego też bezwzględnej

odpowiedzialności za rzeczywistość takowych brać nie mogę. Wiadomości te jednak czerpałem z źródeł poważnych, wysoce fachowych (przytoczę tu n. p. czasopismo „das Schiesswesen“ organ że tak powiem urzędowy stacyi doświadczalnej Neumanswalde) którym wierzyć bezwarunkowo się powinno. Interesując się żywo nowym wynalazkiem Browninga, zbierałem i zapisywałem skrzętnie bliższe o nim dane, a obraz który sobie wskutek nich skreśliłem, odtwarzam teraz wiernie w szpaltach naszego organu ku pożytkowi moich braci z pod zielonego sztandaru.

By wydać sąd o tej w mowie będącej tu broni, musimy przedewszystkiem zbadać i rozstrzygnąć dwie zasadnicze kwestye:

a) Jaką jest pewność jej mechanizmu.

b) Jaką jest jej zdolność balistyczna w porównaniu z bronią inną.

Powtórzymy tu w skróceniu to, co o tem mówi stacya próbna Neumannswalde:

Kwestya a.

W czasie od 23 do 25 lipca z. r. próbowano tu 5 strzelb Browninga, a niżej podana tabelka wykazuje dokładnie rezultat tych prób:

Strzelby	Ilość danych strzałów	Działanie mechanizmu
Nr. 1.	140	po 125 strzale nastąpiła lekka nieprawidłowość w działaniu mechanizmu, po 140-stym strzale zupełne popsucie.
Nr. 2.	50	mechanizm nienaruszony
Nr. 3.	10	zupełne popsucie
Nr. 4.	12	zupełne popsucie
Nr. 5.	50	mechanizm nienaruszony

Tych pięć prób, powiada stacya, nie pozwala nam jeszcze wydać stanowczego sądu o zdolności technicznej broni, gdyż możemy tu przypuścić jakiś szczególny zbieg wypadków. Musimy dalej zaznaczyć że w budowie strzelb późniejszych nastąpiła znaczna zmiana na lepsze i na nasze głównie przedstawienie pojedyncze części składowe mechanizmu z silniejszego i więcej doborowego materjału są robione. Ogromną rolę grają tu łuski, które muszą być nienagannie zbudowane, jak również ładunki muszą być bez najmniejszego naruszenia łusek robione. Teraz egzystują już specyalne łuski i patrony do Browningów, które doskonałe i w innej broni mają zastosowanie.

Kwestya b.

Według doświadczeń wyżej wymienionej stacyi strzelba Browninga nie jest nic lepszą od dobrej dubeltówki, pod względem rozrzucania śrótu, a nieco gorszą od tamtej pod względem siły przebijania, różnice jednak te są tak małe, że żadnej roli grać nie mogą, czyli, powiedzieć można, że strzelba Browninga pod względem balistycznym równa się każdej innej średnio dobrej strzelbie dubeltowej.

Jeszcze podamy tu kilka uwag, zrobionych przez stacyę doświadczalną Neumannswalde:

Czyta się w reklamie, że z Browninga można dać 5 strzałów w 1 do 2 sekundach. Jeżeli w praktycznem zastosowaniu dwa szybko po sobie następujące strzały są nieraz bardzo potrzebne, mając takich 5 do dyspozycyi, ma się już za dużo tego dobrego. Zresztą prawdziwość tej reklamy jest bardzo problematyczną, bo jeżeli tu wliczymy czas potrzebny do nabijania, to ma się rzecz całkiem inaczej i śmiesznie byłoby mówić, że Browning ustępuje pod tym względem nawet zwykłej dubeltówce bez ejektorów. I tak do dania 6 strzałów (z nabijaniem) potrzebowaliśmy z Browninga 15 sekund, z dubeltówki bez ejektorów tylko 13 sekund! Dubeltówka z ejektorami wymaga do powyższej czynności tylko 8 do 10 sekund. Natomiast wyższość Browninga nad wszystkie inne systemy pod względem szybkości następowania po sobie strzałów jest ponad wszelką krytykę, nasuwa się jednak tutaj pytanie, czy to tak często zdarza się w praktyce łowieckiej sposobność do dania takich pięciu szybkich strzałów, by się opłaciło narażać na inne niewygody, jakie tu w grę wchodzą.

Taką niewygodą jest naprzykład ciężar tej broni. Waży ona nabita 3·850 kgm. Kto z taką bronią pochodzi cały dzień w skwarze lipcowym, ten straci odrazu upodobanie do tego nowego szybkopału.

Ma ta broń inne jeszcze zalety, mimo ciężaru jest bardzo składną; wiadomą jest także rzeczą, że mierzenie po jednej lufie jest zawsze celniejszem niż po szynie między dwoma lufami umieszczonej, mimo to jednak broń ta dwururki z użycia wyrugować nie potrafi a tylko w niektórych poszczególnych wypadkach wyższość w zastosowaniu nad tamtą zdobędzie.

Już fakt ten, że używając Browninga nie ma się dwóch ładunków z rozmaitej wielkości śrótem równocześnie do dyspozycyi, jak to się rzecz ma przy dubeltówce, świadczy bardzo ujemnie o praktyczności tej broni.

Obraz cały także nie dość korzystny. Jestto broń jeszcze nie całkiem wypróbowana, często jeszcze mechanicznie zawodząca, ciężka i nieprzewyższająca dubeltówek pod względem ostrości i gęstości strzału.

Cena tej broni (około 240 koron) także nie bardzo odpowiednia, jeżeli zważymy zawody, na jakie się kupujący naraża.

Albert Mniszek.

Koresponďencye.

Hawłowice, 24. stycznia.

Tego dnia odbyło się na polach hawłowickich polowanie w 8 strzelb. Brano mioty wyłącznie w „drukery“ a z powodu silnego wiatru polowano tylko parę godzin. Na rozkładzie znalazło się 35 zajęcy. Gdyby nie wspomniana aura i gdyby miasto „milutkich“ „druckerów“ brane były kotły, to śmiało twierdzić można, że około 100 zajęcy złożyłoby się na nasz rozkład. W każdym miocie mieliśmy ich znaczną ilość, co też najdowodniej świadczy, że zacni gospodarze zwierzynę starannie pielęgnują i o jej rozwój bardzo dbają.

Gościnnością iście staropolską uzupełniały się dwory pp. E. Wolskiego i A. Dworskiego, gdzie przy obiedzie w gronie pań i panów do późna żywo się bawiono. Drugiego dnia miano polować na dziki, lecz silna zamieć śnieżna przeszkodziła tym zamiarom. Rozjechaliśmy się, uwożąc z sobą miłe wspomnienia. *Z. D.*

Peczeniżyn 30. stycznia 1905.

Na dniu 4. stycznia r. b. urządził tutejszy c. k. starosta pan Linde polowanie w swoim lesie w Czeremchowie, na które kilku nas myśliwych łaskawie zaprosił.

Polowanie prowadził młodszy syn pana Lindego Julian, słuchacz szkoły rolniczej w Dublanach i pomimo jeszcze bardzo małej praktyki w polowaniu — przeprowadził je bardzo dobrze. Na rozkładzie znalazło się 17 zajęcy i 2 rogacze — strzałów padło 38 a myśliwych było 6-ciu.

Jeden z myśliwych miał osobliwsze szczęście przy kupnie prostych śrótów, na 8 bowiem strzałów miał 6 zajęcy i 1 rogacza. Po polowaniu sama Pani raczyła nas obfitym obiadem przyjąć, nie szczędząc trudu przyjazdu z Peczeniżyna aż do Czeremchowa do strażniczówki w lesie.

W całym okręgu gospodarczym Peczeniżyn, obejmującym 4.000 ha, ubito w roku 1904: 11 dzików, 6 rogaczy, 52 zajęcy, 18 lisów, 3 kuny, 1 jarząbka i 38 drapieżników. W sierpniu znalazł strażnik lasowy w potoku leżącego jelenia 10-taka, który, jak się później okazało, postrzelony siekańcami, przyszedł prawdopodobnie z Osław.

Kłusownictwo wogóle jeszcze tu stoi bardzo wysoko i trzeba jeszcze wiele poświęcenia i pracy, by przynajmniej w części mu zapobiedz.

Nadmienić muszę, że z 11-tu dzików ubitych — padło w dwóch dniach a względnie w dwu godzinach 7 sztuk, a to w ten sposób:

O godzinie 12. w południe dano znać do zarządu, że 4 dziki są obtropione w lesie, oddalonym o 9 klm. Zanim myśliwych trzech się zebrało i podwodę znaleziono, przybyliśmy na miejsce o godz. 3-ciej a wskutek tego wszystko musiało się odbywać galopem i o godzinie 4-tej wszystkie 4 dziki już były na rozkładzie.

We dwa dni później o tym samym czasie dano znowu znać o trzech dzikach i wszystko odbyło się w ten sam sposób tak, że jeszcze przed czwartą dziki już na rozkładzie były i jednemu z myśliwych udało się zrobić dubletę.

Martyniec.

Smolin, 31. stycznia.

Ostatni dzień karnawału myśliwskiego pod względem aury najfatalniej się zapisał w tych stronach. Deszcz i śnieg naprzemian przy zachodniej wichurze chwilami niemal uniemożliwiały polowanie, które się odbyło dnia tego w kniei pp. Andruszewskich. Polowano w 8 strzelb. Na rozkładzie mieliśmy 1 dzika, 1 rogacza i 18 zajęcy. Dużo dzików niestrzelanych wyszło flankami.

Dzik który padł strzelony z drylinga na odległość 46 kroków tak zwanym „fangschussem“ w chwili strzału znajdował się za gęstą sośniną tak, że nie był widziany przez myśliwego. Mimo że kula expanzywna torowała sobie drogę przez gałęzie, strzał nie chybił celu a dzika podniesiono o 80 kroków od miejsca strzału. Przy „światłej“ sekcyi, bo dokonanej w obecności dwóch doktorów wszech nauk lekarskich stwierdzono, że kula expresowa kal. 450 przeszła przez prawą i lewą komórkę serca, tuż u samego jego koniuszka i wyszła stroną prawą. Jest to znowu jeden dalszy przykład, że strzał w komorę o ile nie jest wysokim na łopatce, najczęściej nie tylko nie kładzie zwierza z chwilą strzału, ale zdarzają się częste wypadki, osobliwie z broni małokalibrowej, że zwierz z przestrzelonem przez środek sercem idzie nawet zwyż 200 kroków.

Energiczność pp. gospodarzy w prowadzeniu polowania, gościnność godna z wszech miar zaznaczenia, dzień ten słotny tak nam upiększyły, że chociażby 31-szy stycznia r. 1906 równie mokrym się zapowiadał — staniemy wszyscy do myśliwskiego apelu.

Z. D.

Żurawno w styczniu 1905.

Przygoda z lisem. Podczas czynności w lesie zauważyłem, że tęgi lesiura powlókł z lasu coś w łozinę, zostawiając ślady swej zbrodni, na zamarzniętej i leciuchno śniegiem przyprószonej kałabani. Zakląłem przy tem odkryciu i postanowiłem w jak najkrótszym czasie koniec temu zbojecko-złodziejskiemu życiu położyć. Na drugi dzień popołudniu, w cichutki i pogodny dzień, kiedy to trudno się zoryentować z której strony wiatr pociąga, wziąłem w kieszeń wabik na zająca i cztery patrony czwórki, strzelbę na ramię i poszedłem prosto na miejsce, na którem postanowiłem wysłać złodziejską duszę w wieczne ciemności. Tam usiadłszy na starym niskim pniaku między drzewami, w miejscu skądby mię lis na wszystkie strony na znaczniejszą odległość mógł usłyszeć, nabiłem strzelbę a oparłszy łokcie na kolanach, wziąłem wabik w obie dłonie i zacząłem dąć, a rozsuwając i składając dłonie, starałem się wydobyć jak najżałośniejsze tony, na jakie tylko zajączka stać, gdy się w opały dostanie. W chwilkę po zaprzestaniu muzyki usłyszałem skrzeczące sroki; zabiło mi serce, bom przeczuwał, że lis z łozin na ściankę przejść musiał i tam go sroki zoczyły. Sroki skrzecząc zbliżały się prosto ku mnie. Byłem przekonany, że lisa prowadzą i są pionowo nad nim, z powodu jednak nierównej zboczy nie mogłem lisa ujrzeć; nareszcie sroki przyleciały tuż nad moją głowę i usiadły na gałęziach, a gdy mię jedna spostrzegła, zerwała się z krzykiem dając tem towarzyszkom swoim znak, że grozi niebezpieczeństwo, poczem wszystkie odleciały.

Po odlocie srok, lisa ani rusz usłyszeć ani ujrzeć nie mogłem i zacząłem już nawet w swoją nieomylność wątpić. Po dobrej chwili postanowiłem jednak jeszcze raz zawabić; pochylam się więc, opieram łokcie o kolana i powtarzam wszystko jak poprzednio z tą różnicą, że dąłem o wiele silniej, bo mię niepowodzenie poirytowało. W trakcie najlepszego koncertowania usłyszałem nagle szelest i równocześnie uczułem spadający mi na plecy i kark jakiś ciężar. Przestraszony wyprostowuję się zwalając tym sposobem przedmiot ten z siebie, a ogladnąwszy się widzę lisa stojącego tuż przy mnie z wyszczerzonymi zębami i naciagniętą poziomo kitą. Podniosłem strzelbę do uderzenia, a krzyknąwszy „pójdziesz szelmo“ odpędziłem lisa, który odskoczywszy parę kroków, obrócił się i stanął w tej samej pozycyi co poprzednio. Wstając z siedzenia machnąłem strzelbą i skrzyknąłem po raz drugi, poczem dopiero lisiura poznał com za jedem, starając się z niebezpiecznej sytuacyi jak najspieszniej wydostać. Wtedy złożyłem się szybko i trąciłem palcem o języczek.

Stary.

Budzanów 2. lutego 1905.

Spóźniłem się trochę ze sprawozdaniem w tym roku a niestety i nie było z czem się bardzo spieszyć, gdyż sezon ostatni dość nie pomyślnie się zapisał w kronikach myśliwskich naszej części powiatu trembowelskiego, choć nieźle się zapowiadał.

Pogoda okropna, ciągłe zmiany, przy olbrzymiej skali podolskiej temperatury, (np. od kilku stopni ciepła do dwudziestukilku mrozu w ciągu jednej doby) sprawiły,

że polowania musiano urządzać dorywczo, prawie z dnia na dzień, a i tak jeszcze trudno było przewidzieć wieczór, co będzie nazajutrz.

Myśliwi-meteorologowie tracili głowy w tym przekładańcu.

W takich warunkach trudno było zwykle zebrać szybko odpowiednią ilość myśliwych i prawie zawsze to było jedną z większych przeszkód, na których utykało powodzenie polowań.

Zające, z wyjątkiem kilku dni, któreby na palcach można policzyć, przez cały czas przeważnie w polu, a że u nas prawie wyłącznie leśne polowania, więc skądkolwiek z okolicy doszły mnie wieści, wszędzie, z drobnymi tylko wyjątkami rozkład znacznie niższy od preliminarza. Brano się na sposób i czasem pędzono krajne mioty do pola przy obsadzeniu silnem flanki od pola i to dawało nieco lepsze wyniki. Przepędzanie pola nie wiele pomagało; w jednej np. miejscowości z kawałka przepędzonego przed polowaniem, siedm zajęcy poszło do lasu, a czterdzieści dalej w pole przez nagonkę. — Lisów w tym sezonie, zapewne dla odmiany od poprzedniego niestosunkowo mało się spotykało, w mojej okolicy jak wymiótł; za to o niespełna dwie mile stąd na zachód, w jednej niewielkiej ściance ubito ich tej jesieni w dwu dniach w dwutygodniowym odstępie 36 (14+22) a w zimie jeszcze 3, razem 39. — Nie przeszkadzało to jednak, że na zimę preliminowano tam stokilkadziesiąt zajęcy, (padło 109).

Dziki jak zwykle wędrują Bóg wie którędy, a stale trzymają się prawie wyłącznie lasów Jabłonowskich i stamtąd robią spacery. — W tym sezonie było też kilkanaście sztuk w Budzanowskim rewirze Gliniska. Był tam też przez parę tygodni ten wielki odyniec, o którym wspomniał pan O. P. w sprawozdaniu z polowania w Jabłonowie. — Olbrzymi ten samotny staruszek, dawny znajomy tutejszych myśliwych, nie mając stałego miejsca pobytu, wędruje na znacznej przestrzeni bo między Husiatynem a Mikulińcami i podczas tych spacerów odwiedza przydrożne rewiry. — Wprost z polowania w Jabłonowie uszedłszy szczęśliwie śmierci, przyszedł przez lasy Kobyłowłockie do wspomnianego rewiru, wypocząć po silnem choć nie pierwszy raz doznanem wzruszeniu.

Stan sarn w ogóle zadowalający. — Słonek tej jesieni nie wiele u nas było przy nieco zmiennem rozmieszczeniu. — Jeden malutki lasek, w którym ich najwięcej bywało, mocno przeczyszczono i jedną tam tylko spotkałem (przed trzema laty spotkałem tam w jednym dniu 15 na przestrzeni około 35 morgowej). — W Mogilnicy ruszyłem ich trochę, ale wyszedłszy na rogacza, nie chciałem strzału kulą ryzykować, bo i takbym nie trafił, a przy nierównym terenie i w sezonie zbierania podpieniek o wypadek nie trudno. — Pokazywały się też ale nielicznie w ściance Wierzbowieckiej. — Na kuropatwy nie polowałem, ale słyszałem, że było ich dosyć dużo.

Sezon ubiegły rozpoczęliśmy małem polowaniem w Mogilnicy u Bronisława hr. Starzeńskiego dnia 10. października z. r. Zacząwszy w 2 strzelby a skończywszy w pięć, mieliśmy na rozkładzie 17 zajęcy, rogacza, lisa i słonkę. — Przez pół dnia urozmaicał nam polowanie drobny ale rzęsisty deszcz. — Drugi raz zebraliśmy się w Mogilnicy jak zwykle w sześciu, 28. grudnia. — Dzień słoneczny przy lekkim mrozie a dość silnym wietrze. — Padło zajęcy 33 i lis. Rogaczów nie strzelaliśmy zupełnie. O mogilnickiem polowaniu nie raz już obszerniej pisałem, tu przypomnę tylko, że przed trzema laty padło tam piętnaście zajęcy, a teraz rok za rokiem stopniując doszło do pięćdziesięciu. — Świadczy to, że dobrze się tam musi dziać zwierzynie.

A gdyby tak zostało czasu jeszcze na jeden lub dwa polne mioty, to jeszcze możeby się choć dobrą część leśnego rozkładu wytrzęsło. — Dwa miłe dni dał nam 21. i 23. stycznia pan radca Salwicki. W pierwszy dzień w małej ściance Wierzbowieckiej w pięć strzelb padło 17 zajęcy. — Dzień słoneczny przy silnym mrozie.

23. polowaliśmy w lesie Wierzbowieckim w 8 strzelb. Ładny ten ale trudny do dokładnego opolowania rewir zrobił nam w tym roku miłą niespodziankę. Z powodu trudności miejscowych padało tam zwykle zaledwie kilka zajęcy.

W tym dniu padło zajęcy 25 i 2 rogacze. — W głównej części zasługa to gospodarza polowania, który zmienił sposób pędzenia miotów i z trudem powybierał odpowiednie stanowiska w gąszczu. — W lasach należących do Kobyłowłok, Młynisk i Słobódki (wł. Ł. hr. Borkowska), na kilku przygodnych polowaniach, w których brałem udział, padło 140 zajęcy, 14 rogaczów i 6 lisów, oprócz tego na podjazdach 16 rogaczów i 2 dziki.

Dawno już nie pisałem do „Łowca“, ale czytam dokładnie każdy numer i dużo zostaje w pamięci i różne zostają wrażenia. — Z zajęciem zacząłem śledzić przebieg toczącej się od kilku miesięcy polemiki, ale ze smutkiem muszę zaznaczyć, że wszędzie zaczęła ona robić bardzo niesympatyczne wrażenie.

Ze względu na ton, które przybrały dotyczące korespondencye, spodziewać się wprawdzie mogę, że ściągnę na siebie mniej lub więcej dobitnie zaznaczone niezadowolenie, ale przemilczeć tego nie mogę, a odwagi dodaje mi poparcie, którego doznałem w swoim czasie, występując przeciw satyrze w łamach „Łowca“. — Wszelka polemika jest o tyle dobra, że daje możność i pole do wymiany zdań i zapatrywań; ale dobra polemika zasadnicza, powinna być absolutnie przedmiotową i kończyć się tam, gdzie się zaczynają wycieczki osobiste; jak to niestety w „Łowcu“ zauważyłem; przeciw autorom, i to nieraz nawet nieznanym zupełnie ani osobiście ani z nazwiska. — Polemika taka gdzie autor przez ośm dziesiątych korespondencyi swojej zajmuje się tylko osobą swego przeciwnika i to w sposób, żeby bardzo łagodnie określić, mało delikatny i uprzejmy, tak że jądro sprawy ginie niepostrzeżenie w powodzi osobistych szczegółów i gdzie nieraz trudno się nawet zorjentować o co właściwie chodzi; taka polemika zamiast przyczynić się do rozwikłania kwestyi, sprowadza tylko zamięszanie, i wywołując równie ostrą osobistą obronę doprowadza w końcu do tego, że redakcya dla własnego spokoju musi odmówić miejsca, i sprawa, o którą chodziło i o którą się zaczęło, pozostaje nierozstrzygniętą.

Ścisła przedmiotowość w połączeniu z uprzejmą stanowczością, jeżli jej potrzeba, daleko więcej może zdziałać. — Kreślę te słowa sine ira, ale smutno mi, że korespondencye „Łowca“ przypominają artykuły niektórych pism codziennych, nie doprowadzajmyż więc do tego, aby Łowiec z winy swych korespondentów miał się stać podobnym do pism niesympatycznych.

W ostatnim Numerze Łowca, poruszono sprawę polowania w niedzielę. Ponieważ szanowny autor sam nie może zaprzeczyć, że kwestyi tej użył jako substratu do sformułowania zarzutu, więc choć sprawa to na razie przynajmniej, jak długo obowiązuje obecna ustawa, nieży-

wotna, pozwolę sobie przypomnieć, że kiedy wolno było polować w niedzielę, nikt nigdy w ten dzień większych polowań nie urządzał — takich wypadków o ile wiem, kroniki myśliwskie nie notują. Jeżeli jednak ktoś mając cały tydzień zajęty, w niedzielę popołudniu wyszedł z psem w pole i zastrzelił kilka przepiórek lub kuropatw, jeżli gospodarz po całotygodniowem harowaniu przy żniwach, wyjeżdżając lub wychodząc na przechadzkę, wziął sztuciec do lasu i ubił spotkanego rogacza, toć i nie grzech chyba, i trudno tych ludzi za to od miana myśliwych odsądzać, i z pewnością żaden z przytoczonych śp. myśliwych, których nazwiska zawsze z uszanowaniem wspominam, za to by ich nie potępił.

W sprawie polowania w niedzielę, Galicyjskie towarzystwo łowieckie wypowiedziało zapatrywanie swoje dnia 30. czerwca 1901 roku na walnem zgromadzeniu z racyi omawiania ewentualnej zmiany ustawy łowieckiej.

Prezydyum towarzystwa oświadczyło się przeciw paragrafowi 41-mu i podało do wiadomości walnego zgromadzenia, że grono bardzo poważnych myśliwych, zasiadających w sejmie, który wtenczas właśnie odbywał narady, także się przeciw §. 41-mu oświadczyło. Na potwierdzenie prawdziwości mych słów, służyć może protokół obrad walnego zgromadzenia. — Ponieważ w odnośnej korespondencyi argumentowano nazwiskami, więc przypomnę, że na tem zgromadzeniu był obecnym śp. hr. Leopold Starzeński i nie występował przeciw tym, którzy zwalczali §. 41.

I jeszcze jeden, zastrzegam się, całkiem ogólny, i czysto ludzki argument. Dajmy na to §. 41. gdzieś się podział. Robimy próbę i bierzemy do tego stu tęgich, prawdziwych myśliwych, przeciwnych polowaniu w niedzielę, a mających cały tydzień lub część jego wolną. Z tych stu, losem wybieramy jednego, sadzamy go za biurkiem i powiadamy mu; „przez rok będziesz tu pracował sześć dni w tygodniu i pół“ tj. od poniedziałku do niedzieli przed południem. Zajrzyjmy do niego w pierwszą niedzielę, już będzie mniej lub więcej niespokojny, na drugą już się będzie kręcił, w trzecią będzie mruczał a w czwartą lub już trzecią, powie „niech was drzwi ścisną“, (sit venia verbo, ale cytuję nie swoje słowa) i chwyciwszy sztuciec lub strzelbę, ucieknie z domu.

Wtenczas możemy zacząć próbę z drugim.

Homines sumus, nullaque humana aliaena nobis esse puto.

Nie mogę też zrozumieć, dlaczego takie poruszenie wywołał pseudonim użyty przez nieznanego mi autora kilku sympatycznych opowiadań myśliwskich drukowanych w Łowcu. — W naszym języku nie mamy osobnego określenia na tych, którzy nie mając innego dnia wolnego, w niedzielę się strzelbą zabawiali, — a to dlatego z pewnością, że u nas nie wytworzył się ten niemiecki, śmieszny i ośmieszony typ strzelca, paradującego przez miasto ze strzelbą na ramieniu, workiem na plecach, parasolem w ręku i z długim jamnikiem na sznurku. — U nas strzelano i polowano pojedynczo w niedzielę, ale robiono to dla wypoczynku i przyjemnej a zdrowszej niż np. gra w karty w zadymionej kawiarni, lub choćby drzemka poobiednia, rozrywki, ale do śmieszności tym wycieczkom bardzo było daleko. Dlatego u nas nie ma takiej, trochę pobłażliwie — uszczypliwej nazwy. — Użycia jednak tej nazwy, nie brałbym tak ostro, jak to niektórzy z szanownych korespondentów zrobili.

Za drobna to rzecz, aby z niej robić sprawę patryotyczno-narodowościową, a uważałbym to raczej jako chęć jowialnego okraszenia pogawędek myśliwskich, których treść sama dostatecznie przemawia za autorem.

Przecież humor, i to właśnie humor jowialny, to tradycyjna od wieków zaprawa wszystkich naszych opowiadań i gawęd myśliwskich, i jako taka powinna być zawsze sympatycznie witaną.

Poruszono też niedawno w Łowcu dość ważny temat, mianowicie skoncentrowanie strzału śrótowego. — Robiłem wprawdzie dość prób, z różnym, czasem i dobrym rezultatem, ale za mało ścisłych, aby w tej sprawie głos zabierać; odzywam się zaś tylko dlatego, ponieważ w Łowcu z 1. lutego, pan Łysakowski zakwestyonował skuteczność cieńszych numerów śrótu. — Co do tego, to jestem tylko empirykiem i mniej znacznie zasobnym w doświadczenie, niż szanowny mój preopinant, bo mniej mam za sobą lat karyery myśliwskiej, jednakowoż nie pisałbym się na ścisłe przeznaczenie, jako norma ogólna, danego numeru śrótu na dany gatunek zwierzyny. — Spostrzeżenia moje stwierdzają, że zależy to, naturalnie, jeżli się za daleko nie przekracza granic grubości lub cienkości śrótu, głównie od danej strzelby. — Strzał z jednej strzelby np. położy na miejscu zająca lub lisa śrótem nr. 6 lub 8, podczas gdy strzał np. nr. 2 lub 0 z tej samej strzelby na tę samą odległość nie dałby takiego rezultatu; a może być i odwrotnie. Na contr-przykład podam, że ze strzelby, której obecnie używam, strzelam wyłącznie cieńszymi numerami śrótu powyżej czwórki, bo tej nie mam, tylko nr. 5, który tak nazywam dla siebie, bo jest grubszym nieco od szóstki. — Wszystkie lisy, które ubiłem z tej strzelby, strzelane były z wyjątkiem jednego, szóstką i wszystkie padły na miejscu. — Strzelanego śrótem nr. 0, musiałem dobić strzałem.

Równie odpornym na działanie śrótów jak lis jest i wielki kot polny, nie raz od kilku pokoleń dziko żyjący. Tych ubiłem z tej strzelby bardzo dużo, wyłącznie numerami 8, 10 i 12 i żaden z kotów, do których strzelałem nie uszedł, powtarzam ani jeden, a nie wiele razy potrzebowałem dublować. — Z ostatniej zaś jesieni mam do zanotowania zająca strzelonego ósemką grubo poza sto kroków.

I sam miałem w użyciu i u innych znam strzelby, które dobry rezultat dają tylko przy grubych śrótach, inne przy cienkich. Nie dawno miałem przykład na jednym ze znajomych, który dobrze strzela, a czwórkę zmienił za poradą, dla próby na dwójkę, i miał fatalne rezultaty, byłem świadkiem tego, a ten, który poradził zamianę, strzela dwójką ze swej strzelby z doskonałym wynikiem.

Wiem też, że lepsi rusznikarze przy zamawianiu strzelby, naturalnie nie tańszej, żądają podania do jakiego śrótu ma być używaną, i według tego ostrzeliwują przerzucając nieraz kilka par luf, i preliminują na to ponad 30 procent całej ceny kupna.

Strzelbę więc, która takich prób nie przeszła w czasie roboty, najlepiej odrazu wypróbować do papieru, deski i zwierzyny, śrótem różnej grubości, i tego się trzymać, który najlepsze dał rezultaty, i tu już normę każdy właściciel tylko dla swej strzelby ściśle może postawić. Szanownego korespondenta serdecznie przepraszam, jeżlim znudził długim wywodem. Już to ludzka rzecz, że każdy za swojem obstaje. Za to przyznam się mu, że mam też bardzo długie lufy, za co nieraz, bo łoże przy nich do małej

osoby właściciela zastosowane jest krótkie, niejeden mi od koromesła przemówił, ale sobie z tego nic nie robię, bo wiem, że za to mogę czasem i na znaczniejszą odległość zająca śrótami zagarnąć, a jak już tylko trafię, to musi leżeć.

Teofil Gordaszewski.

Turówka 8. lutego 1905.

Umilkły trąbki, nastał czas wspomnień, których streszczoną cząstkę posyłam do „Łowca“, i z obowiązku delegata i z wdzięczności dla tych, z których łaski miesiąc styczeń tak szybko i przyjemnie mi zleciał, tem chyba przykro się zaznaczając, że był za krótki na to, by módz z wszystkich wezwań na polowania skorzystać.

Za mało poufałym jestem z piórem, a choćby z atramentowym ołówkiem, żebym wśród gwaru polowań i natłoku wrażeń, zdołał porządnie spisywać pamiętnik dni przeżytych, tak żeby się do druku w Łowcu kwalifikował. Wrażenia to bowiem, różnorodnej natury, zwłaszcza odbite na czułym „objektywie“ serca starokawalerskiego, bo nie z samą zwierzyną miało się spotkanie. Bywały w kniei i poza knieją nasze trzy gracje, urocze panny podolskie, które nie wątpliwie blasku i uroku łowom dodawały. Prawda, że blask ten zaćmił czasem myśliwemu poznanie rogacza, a urok rzucił śrót poza lisa, to jednak pewne że podpisany leżał stale na rozkładzie u stóp trzech gracyi, a nawet leży jeszcze dotąd, bo go ani Chrypiak ani Krzywda nie kupił. Dziś, tylko na moment zmieniam pozycję, żeby posłać do Łowca sprawozdanie, a od jutra znów się rozciągam na stałym rozkładzie.

Brzydko to, ze muszę zaczynać od siebie, ale tak każe kalendarz, bezwzględny pan świata. Otóż 10 grudnia 1904 odbyło się — si parva magnis comparare licet — polowanie w Turówce, na którem kilku łaskawych na swojego sługę, a wyrozumiałych myśliwych, zabiło 5 rogaczy, 2 lisy i 16 zajęcy. Psuje mi bardzo wątek mojej epopei, że nie wypada mi umieścić kilku kwiecistych zwrotów o „staropolskiej gościnności gospodarza“, przez co cały ciąg dalszy będzie już kulawy, czemu, nie wątpię, że cierpliwy czytelnik uwierzy. Ale wrodzona nawet skromność nie pozwala mi zataić, że rogaczy znacznie więcej było strzelanych niż podniesionych, a dzień był tak ciepły i słoneczny, że przyjechawszy, wprawdzie saniami, ale po błocie do lasu, nie zastawaliśmy zajęcy w domu, bo przyjemniej im było w gościnnych polach i oziminach. — Ten sam los był zresztą udziałem prawie wszystkich, urządzających polowania w naszej okolicy, bo pola ciągle odkryte i zwierzyna nie trzyma się lasu.

Do końca grudnia nie polowałem, ale nie z braku ochoty, tylko z braku wezwania, bo wszyscy na mnie łaskawi, czekali z polowaniem na coraz rzadszy w naszych stronach śnieg.

Nie mogąc się doczekać tej białej uroczystości a przewidując że w styczniu, na 31 dni będzie co najmniej 62 polowań, mimo wszelkich danych, że polowanie musi nie dopisać, zaprosiłem kilku łaskawych a wyrozumiałych na 29-go grudnia do Obarzaniec, majątku moich pupilów Grocholskich na to, żeby się dowodnie przekonać, że przewidywania, zwłaszcza niepożądane, nigdy nie zawodzą. Mimo silnego wichru, zwierzyna była w polu, i tam gdzie zwykle pada 12 rogaczy padł 1 rogacz, 1 lis, i 26 zajęcy. Zawód ten usiłowała wprawdzie powetować „znana gościnność staropolska“, ale — katzenjammer musiał zostać.

Dnia 2 stycznia 1905 przy 22° R. polowałem w kniei Orzechowieckiej hr. M, Baworowskiego, znanej z obfitości zwierzyny, a rokującej tym razem tem większe nadzieje, że dwa lata w niej nie polowano. Zawiodła jednak bardzo, dając na rozkładzie 1 rogacza, 1 lisa, 43 zajęcy. Były i dziki, do których strzelano, może nawet celnie, ale nie dość skutecznie. Że właściciel kniei bardzo dba o zwierzynę i karmy nie szczędzi, to wiadomo wszystkim, znane zresztą doskonałe Jego polowania w Sorocku i w lasach fundacyjnych, i świetny rozkład przed dwoma laty w Orzechowcu. Gdzie się podziała zwierzyna w tym roku? — Ne znaty.

Prosto z lasu Orzechowieckiego pojechałem na noc w gościnne mury zamku Grzymałowskiego, na trzydniowe polowanie.

Gospodarza zamku zastałem w ogromnych kłopotach, i zmachanego całodzienną korespondencyą na drucie z kolejową Dyrekcyą ruchu, a w tym wypadku — zastoju. Główny bowiem kontygent myśliwych miał przyjechać wieczornym pociągiem Borki - Grzymałów. Na nieszczęście w rannych dziennikach była wzmianka o rzekomo spadłym śniegu w okolicy Genuy, czy też Medyolanu. W Grzymałowie taki był brak śniegu, że wszyscy przyjechaliśmy na kołach, narzekając na bezśnieżną zimę Osobliwsza ta kolej Borki-Grzymałów, ma jednak tę właściwość, że chadza normalnie, tylko przy niezwykle wysokim stanie barometru, albo kiedy pan Goldberg potrzebuje koniecznie pojechać do Lwowa, naradzić się z kolegami, jakby najtaniej nabyć od nas pszenicę do młyna. Niech Pan Bóg Broni jednak pasażera tej kolei, wieźć ze sobą gazetę, w której by była wzmianka o śniegu, choćby zeszłorocznym, bo to już wystarcza do zupełnego unieruchomienia tej, z natury powolnej kolei.

Chyba prądy elektryczne, biegnąc przez cały dzień po drutach wzdłuż tej kolei, ożywiły na tyle, chorą jej duszę, i usunęły z przed jej oczu widmo urojonych zasp śnieżnych, że pociąg wieczorny, wprawdzie z dwugodzinnem spóźnieniem, dowlókł się do Grzymałowa, przywożąc jednak jednego tylko myśliwego, co prawda znakomitego, i znanego w całym kraju — ze słodyczy. A przecie kolej ta, prócz grysu i węgla, wozi licznych dygnitarzy, posesionatów naszej okolicy, tajnych radców, członków Izby panów, upełnomocnionych ministrów, sektionsszefów emerytowanych, bądź czy nie namiestników przyszłości; ale snać nie tylko odwaga, jak dawniej mówiono ale i cierpliwość zdobi młodzieńca — skoro nikt nie gwałtuje na taką kolej, widać więc że każdy z niej zadowolony. I ja bardzo zadowolony — że nigdy nią nie jeżdżę.

Dnia 3. stycznia w małym komplecie ruszyliśmy do kniei Zielenieckiej, gdzie padło: 3 rogacze, 4 lisy, 36 zajęcy. Dziki, nie otropione, płoszone przez drugą nagonkę, która zachodziła dalsze mioty, napastowały nas przeważnie z tyłu, za co jeden z nich, z ręki hr. J. D. B. dostał napomnienie, co prawda łagodne, bo miejsce strzału dowodziło, że kula dotknęła objektu, dzik jednak farby nie puścił i nie ozdobił rozkładu. W każdym razie o szczęściu może mówić, bo widziałem wiele dalekich i celnych strzałów tego bardzo sympatycznego towarzysza, i nie radzę zwierzynie spotkania z Nim.

Dnia 4. stycznia w liczniejszem już gronie polowaliśmy w głównej kniei Grzymałowskiej (Nadwolica) nad Zbruczem, gdzie 30 dzików było od jesieni na stałym wikcie gospodarza. Zbyt szeroko i długo jest Grzymałów znany z tego, że gościom tam i wesoło i swobodnie i wygodnie

i syto, a niepowszednie przymioty pani domu, odziedziczyli po nieodżałowanej pani Julii Pinińskiej Synowie Jej, i umiejąca każdego chwycić za serce, młodziutka obecna gosposia Zamku. Ani wątpić, że i dzikom dobrze się działo, jadły i piły jak za króla Sasa — oczywiście i brykały czasem w okolicy, bo któż nie bryka kiedy ma dobrze. Gospodarz płacił i za to, a nic nie wymagał, ani pokłonów ani dziękczynnych toastów, pragnął tylko żeby dziczki siedziały na miejscu, a w pewnym dniu oznaczonym pokazały się, tylko na chwilkę, choćby nie Jemu, byle Jego gościom. A w jakim celu? — Niewiem już dokładnie, czy dziczki o to pytały, a nie chciano im powiedzieć, — to wiem, że się nie pokazały — a my zabiliśmy 6 rogaczy i 29 zajęcy.

Ale co to taić, taki żal nam było za dziczkami. Niewdzięczne urwisze, to prawda, ale miłe w spotkaniu i spryt mają. Jak człowiek do nich z kukurudzą, to machają ogonem — ale jak ze strzelbą, to padam do nóg, i do sąsiada. Ale dał im sąsiad bobu! Obok, w rewirze Postułówka ordynata Siemieńskiego, rozciągnął ich już kilkanaście nadleśniczy p. Charzewski. A dobrze wam tak dzikusy!

Dnia 5. stycznia zakończenie polowań Grzymałowskich w Dębinie pod miastem. — Tu, prócz strzelby musiał mieć każdy myśliwy batożek do opędzania się od uprzykrzonych zajęcy. Padło 5 rogaczy i 73 zajęcy, a wiele na to strzałów, nikt by nie zliczył, zwłaszcza że i Browning jeden fungował, który, jak wiadomo musi pięć razy puknąć za każdym zającem, ale zabić — nie koniecznie. Zresztą, jako łagodzącą okoliczność, choćby dla kawalerów, godzi się dodać, że w kniei były i panienki. Stąd pewien niepokój w sercach, oko patrzy na zająca, ale coś go przysłania, ręka drga — i gotowe pudło.

Ruskie święta przekolendowałem w domu, a obliczywszy się sumarycznie wiele cieląt zginęło, i wiele koni zakulało na ciągłej grudzie (to także rozkład w swoim rodzaju), pojechałem 10. stycznia na noc do Czarnokoniec, gdzie 11. i 12. mieliśmy zapolować pod wodzą gospodarza, niezaprzeczenie jednego z najwytrawniejszych myśliwych, i najstaranniejszych hodowców zwierzyny.

Dnia 11. Kociubińczyki dały na rozkładzie 2 rogacze, 1 lisa, 92 zajęcy, — 12. Czarnokońce 3 rogacze, 115 zajęcy. Sławna z lat poprzednich remiza „Berestki", która dawała 80 zajęcy, w tym roku całkiem zawiodła. Zające dobrze najedzone, zrobiły strajk ogólny, zostawiając jakby na kpiny, pięciu deputatów, którzy jednak nie mogli zdać sprawy na wiecu zajęczym, jakie wrażenie zrobiła na nas ich obstrukcya, bo koniec ich był równie szybki jak smutny. Kto choć raz był w gościnnych progach Czarnokonieckiego pałacu, ten wie, jak gościowi tam dobrze, i jak by tam chętnie przybytek sobie zbudował na długo. Kto nie był, temu nie chcę robić oskomy wyliczaniem tych nektarów, jakieśmy tam spijali.

Po krótkiej pauzie zatrąbił na nas ordynat Chorostkowski, i wpuścił nas 16. stycznia, do jednej części swojej kniei nadzbruczańskiej w Postułówce. W Chorostkowie „poznać Pana po cholewach". Ale przysłowiowe te cholewy trzeba w tym wypadku, w szerokiem brać znaczeniu, bo tu znać na każdym kroku Pana, a tam gdzie potrzeba widoczna jest ręka bardzo dobrej Pani. Panuje tu zegarowa, a jednak nie pedantyczna punktualność, która jak wiadomo, jest grzecznością królów, a nader miłe robi wrażenie, ciche i spokojne wykonanie, z góry dobrze obmyślanego programu, z aparatem pierwszorzędnej marki, w najdrobniejszych szczegółach.

Miły gospodarz, w Swojej wyrafinowanej delikatności, nie chciał wyprawiać gości na spotkanie z nieokrzesanymi dzikami, przybłędami z Nadwolicy, ale dawał mioty zamieszkałe wyłącznie przez sarny i zające, niektóre, prawie że przeludnione. To też nastrzelaliśmy się do syta, tak że dymy strzelb naszych zamgliły Miodobory, a rozkład wykazał 19 rogaczy i 82 zajęcy. Godzi się wyznać, że rogaczy mogło leżeć do trzydziestu, gdyby każdy pocisk tam ugodził, dokąd go intencya strzelca kierowała.

Wracając z Chorostkowa wiedziałem już, że 25. stycznia mam się stawić w Buczaczu, żeby stamtąd z panem Władysławem Boguckim i Jego drużyną udać się do Sokołowa na trzydniowe polowanie. Zastałem jednak w domu, gorąco upragnione wezwanie na 24. do Kozłowa, który nie darmo tak się nazywa, bo kóz i kozłów tam bez liku. Obliczywszy się z siłami, i westchnąwszy do św. Huberta, żeby je krzepił, puściłem się 23. na Krasne do Kozłowa, gdzie 24. w 20 strzelb, przy cudownej pogodzie zabiliśmy 25 rogaczy, 5 lisów, 180 zajęcy i 1 bażanta. Knieja to pierwszorzędna, a młody i energiczny p. Wincenty Rozwadowski, widocznie wstrzemięźliwy w strzelaniu, a pilny w ochronie zwierzyuy, skoro, mimo że ludność w wysokim stopniu kłusownicza, stan zwierzyny świetny. Jak gospodarz dobrze hodował zajączki, tak i liczna nasza drużyna, z rączek młodej a wzorowej gosposi miała, czego dusza zapragnie. Nie widziałem wprawdzte ptasiego mleka, ale przypuszczam że w tej porze roku kury się nie doją, żeby mogły łatwiej znosić jaja, które nie mając niestety, sakramentem nabytej gospodyni domu, wiem, że w tym czasie ,są rzadkie i drogie.

Po tem królewskiem polowaniu puściłem się w nocy do Buczacza z groźnemi intencyami dla dzików Sokołowskich. Zbierając po drodze towarzyszów myśliwych i samego gospodarza, dobiłem w południe 25. do Buczacza, dzięki Bogu cało, choć kolej ta nie daleko odbiegła od naszej Grzymałowskiej chronicznej pacyentki na śniegowstręt.

Każde polowanie miłe i pożądane myśliwemu, — a z drugiej strony, niema pewnie myśliwego (chyba jakiś patentowany hipochondryk), któremu by nie było przyjemnie po polowaniu, przybrawszy biały krawat, (zapewne na znak, że już krwi rozlew się skończył), zapomnieć o surowej nucie rogu myśliwskiego, a struny duszy i nerwów nastroić na tony czulsze i tkliwsze, w otoczeniu tych najmilszych, których rączkom chętnie oddajemy rządy nad nami i światem. A może niejeden towarzysz zgodził by się ze mną na zmianę niemieckiej dykcyi „Wein, Weib und Gesang", na „Jagd, Weib und etc."

A jednak powietrze Sokołowskie, ma coś dziwnego, że tam prawie się nie czuje braku, jakże to delikatnie powiedzieć — białego krawata, prawda, (głośno to dodaję) pobyt w Sokołowie nie trwa długo. Tu myśliwy oddany wyłącznie polowaniu, bez żadnych dystrakcyi: o niem tylko myśli i mówi, i seryo wykonuje obowiązki swego powołania, pod mistrzowską batutą gospodarza, który główną uwagę zwraca na dziki i według ich kaprysów bierze i powtarza nieraz mioty, z lekceważeniem innej zwierzyny. To też w Sokołowie i Zaleszczykach małych padło: 11 dzików, 9 rogaczy, 7 lisów, i 229 zajęcy, a „na Glince" gdzie dzików nie było: 10 rogaczy, 2 lisy, 73 zajęcy. Zwierzyny wszędzie było dużo, a polowania szły

wzorowo, jak zawsze, pod kierunkiem p. Boguckiego, mimo że do niektórych kniei musieliśmy przybywać parę mil karkołomnej drogi, nad uroczo przepaścistymi brzegami Strypy. W ogóle nad Strypą znacznie więcej zwierzyny w tym roku niż w naszych „Miodoborach“ nad Zbruczem, o czem jeszcze raz miałem sposobność przekonać się dnia 31. stycznia w Ostapiu u p. Radcy dworu Wacława Zaleskiego, gdzie padło 9 rogaczy i 32 zajęcy, i gdzie w małem ale miłem gronie myśliwych, doskonałym objadkiem i bridżem, zakończyłem mój tegoroczny sezon.

Bronisław Rozwadowski
delegat skałacki.

We Lwowie dnia 9 lutego 1905.

W dniu 21. z. m. odbyło się polowanie w 8 strzelb w majątku p. hr. Szeliskiego w Zbójnym ad Kozowa, na którem w czterech miotach ubito 8 rogaczy i 22. zajęcy.

Polowanie rozpoczęło się o godzinie 11. przed południem — a skończyło się o godzinie 4-tej z przerwą całej godziny.

Ponieważ w skutek bezustannych zawiei śnieżnych wiatry zmiotły śnieg z pól do lasu — w obec tego w lesie przeciętnie na 60 do 70 centymetrów otworzyła się warstwa śniegu i z tej przyczyny pogonka nie tylko bardzo leniwie postępowała — ale nadto szła bez żadnego porządku — tak że większa ilość zwierzyny szła w tył poza pogonkę.

Wszyscy obecni na tem polowaniu myśliwi podziwiali, że w tak małej kniei, bo zaledwie trzysta kilkanaście morgów obejmującej, doprowadzono stan zwierzyny do bardzo pomyślnego rezultatu — i gdyby pogonka była szła w porządku — powinno było paść przynajmniej 12 rogaczy i 70 do 80 zajęcy — jakkolwiek zając był przeważnie w polu.

Przy tej sposobności nie mogę pominąć milczeniem postępywania leśniczego z Krzywego, który wzdłuż granicy lasu na polach rozstawił się wraz z kilkoma leśnymi i urządził sobie polowanie do zwierzyny, która z lasu w pole się wymykała — a jaki rezultat tenże leśniczy osiągnął jest mi niewiadomo — wiem tylko tyle, że bardzo gęsto strzały padały.

W dalszym ciągu donoszę, że w Holeszowie w dniu 2. b. m. leśny Baranowicz idąc do lasu — spostrzegł że świeżo przeszła samura i 3 warchlaki — przeto obciął dziki naokoło i sprawdził że takowe zaległy w debrze głębokiej nad przysiółkiem Lapszyna.

Będąc pewny że dziki nie ruszą z miejsca, udał się do Holeszowa, a zastawszy w domu p. Dra Józefa Thoma, opowiedział że na krótką metę ma obsadzone cztery dziki — w obec tego udano się do lasu w trzy strzelby bez żadnej pogonki.

Leśny Baranowicz zaproponował, ażeby iść za śladem w kierunku ku debrze — dziki bowiem w razie gdyby je ruszono, nie mogą pójść pomiędzy chałupy do przysiołka Lapszyna, li tylko muszą zdążać debrą do góry lasem a w takim razie nie ujdą bez strzału. W obec tego p. Thom idąc za śladem zbliżył się na 30 kroków ku debrze a spostrzegłszy samurę — w jednej chwili położył takową na miejscu — poczem dopiero wyskoczyły warchlaki do których wszyscy trzej strzelali — a skutek był ten że prócz samury położono na miejscu dwa warchlaki — a trzeci, któremu kula przeszła na wylot i wnętrzności z niego ciągnęły się po śniegu, zdołał umknąć, lecz leśny Baranowicz poszedł za śladem i po krótkim czasie ubił i trzeciego warchlaka.

Gdy powrócono do domu, po wypatroszeniu zważono ubitą zwierzynę — a rezultat był następujący:

	Samura	ważyła	75	kilogramów
1	warchlak	ważył	30	„
1	„	„	28	„
1	„	„	23	„
	razem		182	kilogramów

Na zakończenie podaję do wiadomości, że w powiatach bobreckim, rohatyńskim, brzeżańskim i złoczowskim — mało który z myśliwych poszczyci się aby w tym sezonie widział lisa — a tem mniej strzelał do takowego — lisy bowiem w tych powiatach wyginęły wskutek wścieklizny która przed paru laty pojawiła się w powiecie bobreckim a następnie rozszerzyła się po całej okolicy — tak samo rzecz się ma z borsukami — natomiast w skutek braku wody giną sarny — lub też wynoszą się na niziny.

W. Korosteński.

Chudykowce 13. lutego 1905.

Piękne polowanie, to uczta prawdziwa dla dobrego myśliwego i choć sezon się skończył, — jak zresztą wszystko na świecie swój koniec mieć musi — wspomnienie chwil miłych długo jeszcze tkwi w sercu i myśli.

Do takich zaliczam polowanie u pana Władysława Boguckiego, gdzie w 10 strzelb i w trzech dniach, polując kolejno w Sokołowie, Glinnie i Małych Zaleszczykach ubiliśmy 302 zające, 18 rogaczy, 9 lisów i 11 dzików. Nie było myśliwego, by na tem ślicznem polowaniu do dzików nie strzelał; niestety, nie wszystkim dobrze się powiodło! Na 11 ubitych dzików 5 sztuk ogromnych, reszta rozmaite co do wielkości i wieku. Palmę zwycięstwa wziął lekko pan Stanisław Pieńczykowski, lecz że to doskonały myśliwy, nikt mu nie zazdrościł.

Kto swym rozkładem zanadto nie mógł się chwalić, powinien się w piersi — jak ja — uderzyć: „To moja wina“, bo wszyscy mieliśmy spotkanie. A mimo tego, tych co los skrzywdził lub których ręka zawiodła — kochany gospodarz pocieszał serdecznem słowem i miłą dla nas nadzieją: „Na przyszły rok — da Bóg — będzie lepiej“...

My ze swej strony możemy za tak piękne polowanie odwdzięczyć się gospodarzowi, niestety tylko wdzięcznością i przesłaniem mu serdecznego „Bóg zapłać“.

I. D. B.

Złoczów 14. lutego 1905.

Dnia 17. stycznia b. r. odbyło się w Zalesiu, ad Borszczów, polowanie u p. Józefa Feldschuha. Polowano w 23 strzelb przy ślicznej pogodzie, to też zając był w polu — ale pomimo tego roiło się w kniei od zwierzyny. Padło 128 zajęcy, 7 kozłów i dwa lisy — a mogło paść przynajmniej o połowę więcej, bo na 4 strzały tylko jedna sztuka padała. Nie wiadomo mi, ile znaleziono postrzałków.

W pierwszym miocie po śniadaniu miłą emocyę sprawiły myśliwym bażanty, bo już zajeżdżając na stanowiska widzieliśmy 2 koguty i kurę, spokojnie żerujące obok gajówki a podczas gonu piszący mógł strzelać do ośmiu kogutów, gdyby nie czas ochrony i ta okoliczność, że gospodarz bażantów wogóle nie strzela. To też w porównaniu z zeszłym rokiem można było zauważyć znaczny przyrost.

Dnia 26. i 27. stycznia polowano w Borszczowie u p. Maurycego Feldschuha. Niestety, mimo najlepszych chęci nie mogłem w tem polowaniu wziąć udziału i wynik podaję według nadesłanego mi sprawozdania.

Dnia 26. polowano w 18 strzelb i padło: 102 zajęcy i 7 rogaczy,

Dnia 27. polowano w 15 strzelb i padło; 95 zajęcy 4 rogacze i lis.

Zające miały być w polu, gdyż na próbę wzięto jeden miot polowy, (60 morgów roli) i było w nim dwadzieścia kilka zajęcy.

Zbytecznem byłoby nadmienić, że porządek i prowadzenie polowania nie pozostawiały nic do życzenia, a gościnność gospodarzy podnosiła znacznie i tak już znakomite humory zebranej drużyny. To też sądzę, że postąpię w myśl wszystkich uczestników, wyrażając obu gospodarzom serdeczne podziękowanie za mile spędzone chwile i prosząc o życzliwą pamięć na rok przyszły.

R.

Lwów dnia 17. lutego 1905.

„Korzystały z dnia krótkiego ptaki niebieskie i białe mewy, którym Bóg uciekać kazał przed ciemnościami i uniknąwszy jej wielkimi tłumami leciały nocą jęcząc“... Czytając te słowa wczoraj w nocy około 12 godziny, usłyszałem jakiś jęczący, krótki urywany pogwizd. Podszedłem do okna, otworzyłem je a cicha noc na przedmieściu pozwoliła mi rozwiązać zagadkę.

Był to jęk ptaków niebieskich, lecz nie białych mew Anhellego, tylko naszych kulonów. Leciały z południa na północ wabiąc się nawzajem swojem charakterystycznem prześwistywaniem; — zapewne wiosna zawita do nas prędzej niż zwykle. W myśli odprowadzałem tak długo tych wczesnych gości, tych wygnańców walki o byt, szczęśliwych, bo wracających do swej ojczyzny, do swoich gniazd, dopóki prześwisty nie zgłuchły w przestrzeni. Powróciłem do Anhellego i wzrok mój padł na słowa mew białych: „Czy każesz nam pozdrowić kogo“?

Może kulony pytały o to samo? nie odpowiadałem im, bo były już daleko. Wśród niezmąconej ciszy słyszałem jeszcze ciągle jękliwy pogwizd a przed oczyma przesunął się obraz zielonej runi, sadów i łąk kwitnących rożnobarwnem kwieciem,

Oby ten ciąg nie był zwodniczem proroctwem przyrody.

Konrad Majewski.

Lwów, 18. lutego 1905.

W numerze Łowca z 1. stycznia 1905 umieścił pan Gołębski korespondencyę, opisując sposób robienia nabojów, w których umieszcza śrót w płóciennym woreczku i ogłasza ten sposób robienia nabojów jako nowy, własny wynalazek. Otóż w ten sposób robiłem naboje, skoro się broń odtylcowa okazała — doświadczenia robione tymi nabojami przekonały mnie, że strzelba wprawdzie gęściej biła ale słabiej, a często zdarzało się szczególniej przy słabszym naboju, że cały nabój szedł kulą — co chybiało celu i powodowało na bliższą odległość pudła. Dawniej, gdy broń była gorsza, mogło to przy bardzo troskliwej robocie być korzystne, ale dzisiaj gdy przez wyrób luf stalowych ulepszono strzał śrótowy — jest to zbyteczne i bezcelowe, a że się to okazało nie praktycznem, dowód, że Otto Hamerer z Augsburga wyrabiał Kartetschen Patronen, w których śrót był w rurce papierowej albo drucianej, ale je zarzucono jako bezwartościowe. Że dryling pana Gołębskiego źle strzela, tego nie neguje — to się przy trzylufkach zdarza, że śrótem nie tęgo biją — ale ten szczególnie źle strzela — prawda że nabój nie jest odpowiedni, bo 4½ gr. prochu za mało, a 80 ziarn śrótu do cal. 16 za dużo — może to przyczyna. Ja strzelam w zimie a nawet często jesienią z hamerlessów lankaster, obie lufy choke bore cal. 12, wyrób Dzikowskiego, Jankowskiego, lub Sauera, lufy Wittiner Excelsior, special Inb prima Gewehr Lauf stal i te dają przy 5½ gr. prochu a 85 ziarnach Nr. 4go w zająca, wymalowanego na arkuszu, 36 ziarn a śrótu Nr. 6, 42 ziarn na 50 kroków, wygląda jak sito i sam nie wie, kiedy skończył żywot. Tego roku zabiłem lisa na 90 kroków, strzelając za nim, na co więc zgęszczać rzut śrótu, kiedy jest zupełnie wystarczający, żeby tylko było do czego strzelać. Na poparcie mego twierdzenia opowiem, co mnie się zdarzyło. Jeden mój znajomy kolega myśliwy, dobry strzelec, pyta mnie, jaką kupić strzelbę, a że strzelałem z dubeltówki rusznikarza lwowskiego Jankowskiego na strzelnicy, która strzelała znakomicie, poradziłem, aby ją kupił, co też uczynił — gdy go później spotkałem, pytam czy zadowolony ze strzelby, mówi strzela doskonale, ale tak gęsto, że zabijam na dalszą metę a chybiam na bliższą i dogodź że ludziom. W innym Nrze Łowca opisuje korespondent, że ma nadzwyczajną strzelbę z lufami 78 centimetrów i tej długości przypisuje dobroć; mylne to zdanie. Dawniej, gdy wyrabiano proch lichy, do spalenia się tegoż potrzebną była długa lufa i dla tego je wyrabiano, dziś do spalenia prochu zwykłego wystarcza od 72 do 75 centimetrów a do bezdymnego 68 do 72 cm. długości; to jest dostateczne, takiej też długości strzelby wyrabiają pierwszorzędne fabryki broni, z których w ostatnich czasach wiele strzelałem i przyznać im muszę, że strzelają dobrze — dłuższe lufy nie strzelają gęściej a strzelać muszą słabiej, bo przez tarcie przez dłuższe a zbyteczne przydłużenie, tracą siłę — strzelałem przeszłego roku ze strzelby 39 centimetrów długości luf, zamówionej przez amatora długiej strzelby — okazało się, że źle i miękko biła, była niezgrabną z przewagą w przodzie, a gdy jej zamawiający przyjąć nie chciał, tłumaczył się rusznikarz: kazałeś pan zrobić 39 cm. długie lufy, taka strzelba dobrą być nie może — zresztą dążą do tego wszyscy, aby lufy były krótkie, co już przy broni kulowej osiągnięto a przy broni śrótowej osiągnąć się starają, bo łatwiej jest dobrze i szybko wymierzyć i trafić z krótkiej, niż z długiej broni. Strzelałem dużo w życiu z dobrej broni, którą często zmieniałem ale najlepiej strzelałem z krótkiej 71 cm. długości luf strzelby Nowotnego cal. Nr. 12.

Teofil Żurowski.

W lutym 1905.

Od dłuższego już czasu toczącą się w łomach „Łowca“ polemika w „kwestyi bocianiej“ wzrusza i mnie z pisarskiej apatyi i zniewala do wetknięcia w tę sprawę moich trzech groszy. Ostatni artykuł w tej sprawie podpisany przez „Starego Sontagsjägera“, wywołał replikę szan. Redakcyi, replikę, której odmówić słuszności nie można, biorąc pod uwagę, że replikowała w tym wypadku Redakcya „pisma łowieckiego“. A ponieważ z drugiej strony w zupełności podzielam zdanie pana „Starego Sontagsjägera“, przeto tuszę, że siedząc w ten sposób na dwu stołkach (po raz pierwszy w życiu) nie zostanę ani przez jedną, ani przez drugą stronę wezwany na „udeptaną ziemię“, czego boję się gorzej niż grzechu śmiertelnego.

Szan. Redakcya „Łowca“ odpowiadając „Starema Sontagsjägerowi“ replikowała ze stanowiska prawnego i ze stanowiska zawodowego tj. łowieckiego. Stosunek prawny bociana do ustawy został już przez szanownego syndyka Tow. łow. wyjaśniony i z tego wyjaśnienia dowiedzieliśmy się, że egzystencya bociana jest stanowczem bezprawiem. Co do kwestyi stanowiska bociana do łowiectwa w ogóle, to dla nikogo nie jest tajemnicą, że bocian dla dobrej zwierzyny nie jest bezpiecznym sąsiadem. Ergo; zważywszy jedno i drugie, powinnibyśmy bezwzględnie bociana prześladować — powinnibyśmy, gdyby... gdyby nie istniało jeszcze trzecie stanowisko, z którego na tę całą sprawę polski łowiec spoglądać powinien, a to ze stanowiska etyki i tradycyi łowieckiej; etyki i tradycyi, za któremi „Stary Sontagsjäger“ nie bez pewnej dozy temperamentu, ale tak sympatycznie przemawia. Tradycya każąca nam ochraniać bociana, nie jest uzasadnioną przyczynowo, a jednak przetrwała wieki i zrosła się z nami i dopiero dzisiejsze niwelujące wszystko czasy usiłują ją z krwi naszej wyplenić, usiłują i w tym kierunku przeprowadzić kosmopolityczny, bezbarwny strychulec i szablon. Strzelają bociana Włosi i Francuzi, Czesi i Niemcy, dlaczegoż więc i my go strzelać nie mamy, choć tradycya przekazała nam obraz króla Kołodzieja, wzrosłego pod strzechą zdobną bocianiem gniazdem, choć wiara ludowa upatruje wróżbę dostatku i pomyślności w ufności, jaką nas darzy bociania para, osiedlająca się na naszem obejściu.

Strzelajmyż bociany, my synowie ojców, którzy wyciągali na swoje strzechy umyślnie koła, by ułatwić bocianowi budowę gniazda, tępmyż bez litości tych wyjętych z pod prawa paryasów, których klekot witaliśmy jako dzieci z radością, których wiosenny przylot stanowił dla nas epokę, które z żalem żegnaliśmy w jesieni.

Ależ bocian chwyta młode zajączki, łyka jak kluski przepiórki i kuropatwy, wypija jaja i o grozo, lubi kaczki ks. kanonika. To prawda Wszyscy o tem wiemy, że między tysiącami myszy, szkodliwych owadów i płazów, nie gardzi bocian i wyżej wspomnianymi przysmakami i robi tem konkurencyę producentom (sic) drobnej zwierzyny. Ale czy ta konkurencya jest aż tak groźną, ażeby usprawiedliwić zaparcie się puścizny etycznej, przekazanej nam przez ojców, ażeby usprawiedliwić bocianie mordy, śmiem wątpić jako myśliwy i naturalista, a jako człowiek i dziedzic wad i zalet moich przodków, jestem tem odstępstwem od tradycyi bardzo boleśnie dotknięty.

Przeciwnicy bociana, dzwonią na alarm w imię zagrożonych rzekomo ekonomicznych interesów kraju, interesów, w których łowiectwo nasze odgrywa jakoby pewną rolę. — Chwała Bogu jeszcze u nas tak nie jest.— Chwała Bogu, bo z chwilą, gdy zaczniemy hodować zwierzynę nie dla łowów lecz dla dochodu, przestaniemy być myśliwymi, a staniemy się producentami zwierzyny. Łowy są atrybutem możnych, a mogą być i atrybutem kłusowników. W jednym i drugim wypadku można być łowcem, trzeba jednak mieć pasyę, mieć iskrę bożą polować dla polowania, a nie dla dochodu. Jeżeli myślą przewodnią w hodowli zwierzyny i polowaniu będze ewentualny dochód, toć przecież nie możemy już zaliczyć takiego procederu do wysokich łowów, lecz spadniemy do rzędu hodowców zapewne bardzo cennych i szacunku godnych, ale nie wznośmy wtedy wysokiego sztandaru św. Huberta i nie zaliczmyż takich rezultatów do łowiectwa. Matejko i Siemiradzki nie malowali dla grosza. Mickiewicz, Słowacki i Krasiński spiewali „Wie der Vogel singt, der in den Zweigen wohnt“ nie licząc na nagrodę, Wodzicki Kazimierz, Dzieduszycki Aleksander, Leopold Starzyński polowali nie licząc z pewnością na dochód.

I dziś także jest jeszcze chwała Bogu dużo takich. Polowanie nie jest procederem przynoszącym dochód. Polowanie jest sztuką piękną, a kto ją inaczej traktuje, niech że się nie ma za myśliwego.

Największym wrogiem polowania jest człowiek sam, człowiek, który nie umie swojej pasyi pohamować, który tłucze, co pod lufę wlezie, a nie da zwierzynie ani karmy, ani ochrony. Biedny buziek ze swoim apetytem na drobną zwierzynę, nie dużo zaważy na szali.

W ostatnich latach w całym kraju podniosły się ogromnie zwierzostany, dzięki publicznej i prywatnej inicyatywie, dzięki ofiarności ludzi, których bodźcem nie był z pewnością spodziewany dochód z polowania. Polowanie jest sztuką piękną, sztuką wysoką, ale sztuką drogą, wiemy o tem wszyscy nie kaźmyż go rozprawami o możliwych dochodach. To nie świnki, ani barany, ani woły opasowe, a myśliwy to nie producent obliczający kilogramy i halerze. Są wprawdzie tacy, którzy przehandlowują krew swoich rogaczy i jeleni za monstrualne ceny różnym przybyszom von d'rausen i ci z pewnością mają dochody, ale zapytuję, czyż to dochód z polowania? Czy też tylko udana spekulacya, wykorzystująca cudze słabostki. Mimowoli, zapuściłem się na obce bocianowi sprawy, ale gdy raz człowiek chwyci się pióra, to chciałby wylać na papier wszystko co go boli.

Od szeregu lat zwiększają się nasze zwierzostany, rosną rozkłady a podupada łowiectwo. Ileż to takich polowań w kraju, gdzie po kilkuletniej oszczędności w kniei (oszczędności zresztą bardzo chwalebnej), następuje produkcya mająca olśnić sąsiadów i kraj cały, więc sypią się „Kulturhasy i Kulturfasany“, lecą czeskie i węgierskie kuropatwy, wszystko wychuchane i wypielęgnowane, biegną i lecą na nimrodów wyciętych jak z żurnalu, wypomadowanych i wyperfumowanych, ubranych od stóp do głów w produkta mrocznego „Albionu“, uzbrojonych w broń najnowszych systemów, strzelających bez emocyi jak Carwery, nimrodów, którym chodzi tylko o to, ażaby po polowaniu, zapisać jak największą ilość zajęcy, bażantów i kuropatw. I tak przez cały sezon z polowania na polowanie. A wszędzie rekord i rekord, przedewszystkiem i we wszystkiem. Czyż to ma być polowanie?

Odpowie mi ktoś że chciałbym widzieć myśliwego brudnym, rozczochranym i źle ubranym. Broń Boże, ale chciałbym ażeby myśliwy nie polował dla produkowania się i dla rekordu, nie polował dla sportu i dla pokazywania nadzwyczajnych berlaczy, krawatek i kamizelek, lub nawet nadzwyczajnych strzałów. Ażeby nie przyjeżdżał dla skonsumowania srok nadziewanych migdałami, lecz ażeby wysoką i szlachetną sztukę łowiecką wykonywał z prawdziwego zamiłowania dla niej samej Każda przesada prowadzi do zwyrodnienia, a boję się bardzo, że naszemu łowiectwu zagraża taka katastrofa na niemiecko-angielskim sosie. Ofiarą tej przesady w kwestyach, mających styczność z polowaniem, pada dziś bocian, w którego dzióbie tonie jakiś zajączek lub kuropatwa, reprezentująca dla kogoś jeden punkt przy rozkładzie, lub 50 centów w dochodzie z polowania.

W imię przekazanego nam przez przodków przywiązania do bociana, darujmy mu ten jeden punkt i tych kilka szóstek i nie ogołacajmy łąk i strzech naszych z ich charakterystycznej ozdoby.

Być bardzo może, że głos mój będzie głosem wołającego na puszczy, ale polska wieś bez chłopa ubranego w strój ludowy, polska wieś bez bocianiego gniazda, polska łąka bez bociana łowiącego żaby, tracą dla mnie swojski i narodowy charakter i nasuwają bolesne przypuszczenia, że listek po listku oblatuje z wieńca narodowych tradycyi i zwyczajów, i że nie daleki czas, w którym kosmopolityczny strychulec wygładzi resztki naszej narodowej indywidualności.

L. P.

Od administracyi.

Uprasza się P. T. członków o wyrównanie wkładek za rok bieżący.

Drobne ogłoszenia i inseraty.

Poszukuje się terenów myśliwskich, w dużym kompleksie, o dobrym zwierzostanie, w pobliżu stacyi kolejowej, na conajmniej dziesięcioletni okres dzierżawny. Zgłoszenia z wyczerpującym opisem rewirów, rodzaju i ilości zwierzyny, mapą i oznaczeniem wysokości czynszu należy nadesłać do Redakcyi „Łowca“ Lwów, ul. Słowackiego l. 18.

Szczenięta settery angielskie do sprzedania. — Dobrzyński, Kraków, Sławkowska 12.

Wyżeł roczny, rasy niemieckiej ostrowłosy (Stichelhaar) wysokiej krwi, kasztanowaty nietresowany i niezepsuty, doskonały odważny pływak; również suka takiej samej rasy i maści w drugim polu ogromnie karna znakomita matka, jest do sprzedania M. Wojciechowski Czernichów pod Krakowem.

Na sprzedaż Griffony, wiadomość Wład. Rogowski Ożydów.

W Łańcucie u łowczego Lewickiego są do nabycia psy młode anylo-czeskiej rasy, para rasy niemieckiej, które będą do oddania zupełnie gotowe w dniu 1-go września i młode psy pointery. Ładne szczenięta jamniki krase, bardzo rasowe, po dobrych rodzicac, po niskich cenach.

Leśniczy posiadający niższy egzamin państwowy i dłuższe praktyki w zawodzie leśnictwa i łowiectwa jako dobry myśliwy hodowca zwierzostanu i bażantów oraz biegły w prowadzeniu różnego rodzaju kultur leśnych może prowadzić przełożeństwo obszaru dworskiego, mogący się wykazać dobremi świadectwami i odpowiednią rekomedacyą poszukuje posady.

Łaskawe zgłoszenia: leśnik poste restante Gładyszów.

Bok 16/8 mm. oryginalny Sauer ze Suhl, prawie nowy znakomity w strzałach, sprzedam cena 90 złr. (180 K. Ostrowski, ulica Wiśniowieckich 5 (od godz. 3 — 5).

Wydawnictwo gal. Tow. łowieckiego. — Redaktor odpowiedzialny: **Ludwik Józefowicz.**